

Aapeli

Mrówki Pana Boga

Przechadzka po małym miasteczku

Przełożyli
Marcin Arcisz Iwona Piechnik

Avalon Kraków 2008

Tytuł oryginału
Meidan Herramme muurahaisia. Kavalkadi pienestd kaupungista

Polish publication of this book has been subsidized by
FILI - Finnish Literature Exchange

Polskie wydanie tej książki zostało dofinansowane przez
FILI - Centrum Literatury Fińskiej

Konsultacja
s\nna-Maija Biskupska
Eriika Arcis^
Liisa Mattila

Redakcja
Lidia Kierepka

Korekta
Marta Piechnik
Krystian Kuma

Skład i łamanie
PRIMs.c.

Projekt okładki i stron tytułowych
Robert Płękowski

Copyright © by Werner Söderström Osakeyhtiö, Helsinki, Finland
First published by WSOY in 1954

Copyright © for the Polish translation by
Marcin Arcisz and Iwona Piechnik

Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo Avalon, Kraków 2008

ISBN 978 83 60448 25 0

Zamówienia przyjmuje

Wydawnictwo AVALON
Ul. Saska 9/10, Kraków 30-715
Tel./fax 012 290 53 45; 602 429 286
wydawnictwo@avalon.krakow.pl;
www.avalon.krakow.pl

*Przechodniu, grzechem ponad wszelki grzech
jest grzech ślepoty dusz dla innych dusz
Radością ponad wszelką radość jest radość
ujrzenia w was dobra —*

Antologia Spoon River*

Edgar Lee Masters, *Antologia Spoon River*, przeł. Michał Sprusiński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981, str. 261. *Spoon River Anthology* (1916) to główne dzieło amerykańskiego pisarza Edgara Lee Mastersa (1868-1950). Zawiera ono ironiczno-pesymistyczne konfesyjne monologi zza grobu (jakby epitafia) mieszkańców fikcyjnego amerykańskiego małego miasteczka. W j. polskim, przed wydaniem pełnego tłumaczenia *Antologii...* ukazał się w roku 1968 wybór pt. *Umarli z Spoon River*, w tłumaczeniu Michała Sprusińskiego, Jana Prokopa, Leszka Elektorowicza, Marka Skwarnickiego i Jerzego Niemojowskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy M.A. i I.P.

Czytelnik pamięta zapewne tę opowieść o greckim Fojbollo-nie* (należy do małych bogów): pewnej attyckiej nocy Fojbollo zawędrował do małego miasta Katharsis, w którym niestety wszystkie okiennice były już zamknięte. Fojbollo nie przejął się tym, lecz wspiął się na dach najbliższego domu, po czym do ucha przyłożył sobie małą słuchawkę, która była zrobiona z kości piszczelowej boskiej córki Pneumeniki, i przysłuchiwał się nocnym wzdychaniom, wrzaskom i wyklinaniom mieszkańców miasta. W ten sposób Fojbollo dowiedział się, w co mieszkańcy Katharsisu wierzyli, czego życzyli sobie i co kochali. To, co następnie zaczął robić bożek Fojbollo, nie dotyczy niniejszej opowieści.

Autor tej książki nie siedział na dachach domów miasteczka, o którym tu będzie mowa, i nie miał przy uchu słuchawki z niczyjej kości. Jednakże, do zapisania poniższych monologów użyto tej samej metody. Według pisarza był to jedyny sposób umożliwiający zebranie wiarygodnych informacji o mieszkańcach miasta.

Aby zmniejszyć możliwość błędnych interpretacji nadmienię, że takie miasteczko istnieje naprawdę. Więcej informacji o tym udostępnia duszek Fojbollo.

Połączenie imienia Apollona z jednym z jego przydomków *Fojbos* (gr. forma *&oi̯fioc* 'czysty, jaśniejący'; rozpowszechniona głównie w wersji łac. *Phoe-bus* [pol. *Febus*]).

PANNA KOSKINEN, SPRZEDAWCZYNI GAZET

Prawie przez dwadzieścia pięć lat bez przerwy siedziałam na rogu rynku i sprzedawałam te gazety, tak, że zobaczyłam trochę świata.

Zimą ludzie są nadzwyczaj przyjaźni. Pytają się o wszystko, czy nie jest mi zimno siedząc tak na wietrze, w śnieżycy i na mrozie. O Maryjo Święta, naprawdę jest mi zimno, chociaż cała obłożona jestem gazetami, tak że w najgorsze pogody jestem od pięt po uszy w drukowanym słowie. Ale nie trzeba mówić, że marznę. Inaczej ludzie myśleliby, że należałoby litować się nade mną a nikt nie będzie często kupował gazet z litości. Tak to jest, no.

Mało kto wie, że jestem jeszcze panną. Pewnie dlatego, że jestem taka przy kości i poczerwieniała na twarzy, nazwano mnie panią. Jest mi wszystko jedno, jak mnie nazywają, w świecie interesów nie należy przywiązywać uwagi do drobiazgów. Czasami żałowałam, że nie jestem piękniejsza, może interes szedłby lepiej. Chociaż wcale nie wiem, ileż to kobiet zamężnych kupuje u mnie gazety. Na twarzy mam popękane żyłki, przez co wyglądam jak pijaczka. Jestem szczęśliwa, że zauważyłam to dopiero teraz, już po sześćdziesiątce. Co ja na to teraz poradzę? Spoglądam rzadziej w lustro.

Siedzę więc dzień po dniu na rogu rynku dmuchając w ręce i przyglądam się światu. Czasami jak tak sobie patrzę i przysłuchuję się, to aż robi mi się tak przykro, że po przyjściu do domu, muszę sobie trochę popłakać. Rzadko kto ma dobrze, ciężko

uwierzyć, jak niewielu ludzi. Od kiedy miałam jakieś piętnaście lat śpiewam w młodzieżowym chórze parafialnym, ale obawiam się poważnie, że to nie poprawia nastroju wielu osobom. Ani też mojego w ostatnich latach. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Nie minęło jeszcze kilka tygodni od tego, gdy pani Nieminen przysłała kupić „Nowelki tygodnia”. Ona kupuje gazety r2adko, tylko czasem w dni świąteczne, bo nie stać jej na to. Ostatnio dziesięcioletni syn konsula tytularnego Huttunena zrzucił z okna na ulicę żelazko do prasowania. Na ulicy stał syn pani Nieminen, też dziesięcioletek. Żelazko zdarło część skóry z włosami z głowy chłopaka Nieminenowej, ale on nie stracił życia. One są takie bezmyślne, te dzieci pańskie, słodkie, ale bezmyślne. Nie chcą niczego złego, ale nie wiedzą, że czaszka ubogiego dziecka nie wytrzyma spadającego żelazka. Pani Nieminen była smutna, bo myślała, że teraz żona konsula będzie zła na nią, i zapewne też jest. Ale syn Nieminenowej to nie powinien. No tak, w „Nowelkach tygodnia” publikowany jest horoskop. Pani Nieminen kupiła „Nowelki tygodnia” i zaczęła czytać z horoskopu, czy jej synowi urośnie nowa skóra na głowie.

Z chęcią dałabym pani Nieminenowej gazetę za darmo, ale trzeba patrzeć, komu daje się pre2enty. Pani Nieminenowa nie ma dużo pieniędzy, więc potraktowałaby to jako coś złego. Pan Anders, sędzia, nie miałby nic przeciwko bezpłatnej gazecie, ale i nie pamiętałby, że taką dostał. Z takiego też powodu nie zwykłam dawać za darmo gazet nawet sędziom.

Sprawy pastora Raity nie wyglądają najlepiej. Zbladł i stał się bardziej małowówny. Prawdopodobnie myśli za dużo, o wiele więcej niż jego stanowisko wymaga. Parę lat temu pastor ożenił się z córką kupca Vehvilainena, która jest szlachetną kobietą. C2es2e sobie włosy w kok, chociaż jest jeszcze młodą osobą. Nigdy nie kupuje gazet. Ona jest na pewno szlachetną kobietą, cnotliwą. Nie mają dzieci. Pastor Raka nie powinien jednak z tego powodu się smucić, bo przecież ma piękną i wspaniałą

żonę. W soboty zwykł kupować gazetę „Koktajliczek szczęścia”, którą wsuwa sobie szybko do kieszeni płaszcza. Gdyby się nie wiedziało o takich rzeczach, można by było uważać za dziwne to, że pastor czyta taką gazetę. Są w niej najczęściej zdjęcia dziewczyn, które po prostu nic na sobie nie mają. Ale pastor Raita kupuje tę gazetę po to, żeby zobaczyć, co młodzież czytuje, jest on bowiem pastorem młodzieży. Słyszałam niejedną raz, jak w homiliach przestrzegał młodzież przed takimi gazetami, i ja wiem, że on wie, o czym mówi.

Czasami prości ludzie pytają mnie, dlaczego sprzedaję takie gazety. Mówię im, że mi to wcale nie wadzi. Jeżeli mężczyźni dopytują się bardziej o „Perły z otchłani” niż o „Koktajliczek szczęścia”, wtedy zaczynam sprzedawać „Perły z otchłani”. Ja, to nie chciałabym patrzeć na te zdjęcia dziewczyn, nawet gdybym była pastorem. Wszystkie takie chudobrzuche, wystające żebra, ramiona wyciągnięte do tyłu, i żeby nawet biedaczkom cycki wyglądały jakoś. Żadna z nich nie ma ani odrobiny powabu w oczach. Tak, tak, po kilkakroć wyobrażałam sobie, jak one by wyglądały, gdyby miały na sobie pół rocznika gazet i watówkę. Jednak nie wszystkim w życiu układa się źle. Stiina od Holm-grena była w siódmej klasie szkoły podstawowej, kiedy urodziła dziecko synowi Kiiskinen, właściciela zakładu przemysłowego. Stiina była grzeczną oraz szczerą dziewczyną i opowiedziała o całym zajściu wszystkim, którzy tylko chcieli słuchać. A było w tym mieście pełno takich chętnych. I tak z dziewczyny w mgnieniu oka stała się młodszą pani Kiiskinen, i niczego jej nie brakuje. Na ten wiek skończyła edukację z powodzeniem — czy tak aby •Się nie mówi? Młodszy Kiiskinen jest takim skaczącym motylkiem. O tym się wie. Zapewne na wielu spódniczkach są jego odciski palców, ale co z tego? Dawna Stiina od Holmgrena przytyła odrobinę, jednak wcale nie zrobiła się zarozumiała. Kupuje dużo gazet i wygląda na to, że ma się dobrze w swoim domku. Każdy byłby zadowolony, gdy wszystko jest piękne i ma się wiele sług. A mąż do tego jeszcze na wyjazdach. Stiina była zawsze

taką kochaną dziewczyną. Takim to się trafia dobrze w życiu, jak dbają o swoje. Tak jest zawsze.

Ostatnimi zimami padało dużo śniegu. Nawet na cmentarzu chodniki były zasypane. Ale ja mam te swoje wysokie walonki. Veertti miał krzywe usta, ale za to jego dłonie były wielkie i ciepłe. Już kawał czasu minął od tego, jak ktoś nazywał mnie Wilhelminą. Tak, tak, oho ho.

Miałem być pisarzem dreszczowców, a zostałem księdzem.

Może to i szczęście, że nie zostałem pisarzem dreszczowców. Dzięki finansowemu wsparciu mojego drogiego wuja Rai-ty wjechałem niczym jeździec na koniu w stan duchowny. Powiedział mi pewnego razu, że należy wybrać zawód, w którym prawdopodobieństwo niepowodzenia jest jak najmniejsze. Wybór był więc prosty.

O latach moich studiów, hm — nie napisałoby się raczej żadnego dreszczowca, no ale na pewno malusieńką nowelkę. Nie było odosobnionym przypadkiem, że kierowałem okolicznościowym chórem braci na mikołajkowej imprezie fryzjerów w restauracji Alcazar. Próbowałem praktycznie wszystkiego, co niedoświadczonego wieśniaka może doprowadzić do żalu za grzechy. Ale w sumie nie było nic ciekawego. W każdym bądź razie wiem teraz lepiej, czego mój strój wymaga.

Jestem tylko pastorem młodzieży. Moja żona zapewne cierpi z tflgo powodu. Nie znam nikogo innego, kto miałby tak cięty język jak żony pastorów.

Podobno jestem dosyć dobrym mówcą. Dlatego wiele razy zachęcano mnie, abym zajął się polityką. Nie zająłem się.

Wiem, że będąc posłem mógłbym czasami strzelić sobie parę kieliszków gdzieś w stolicy, w ustronnej restauracyjce. Muszę przyznać, że możliwość takiej sytuacji kusiła mnie czasami. Mam taką słabość, która jest grzechem, chociaż okoliczności nie sprzy-

jaja w jej praktykowaniu. Ale nie będę stawał do kandydowania, pomimo tego, że prawie nikt ze starających się o kandydaturę nie kieruje się szlachetniejszymi pobudkami.

Bratu Hiecie, mojemu koledze ze studiów, powiodło się dobrze. Jego polityczna grupa zwolenników jest ogromna i wierna. Wcale nie musiał wygłaszać płomiennych mów ani też ogłaszać się w gazecie. Nieskalana twarz i smutnawe spojrzenie na chrztach, ślubach i pogrzebach są bardziej owocne, niż same słowa. W żaden inny sposób nie można wzbudzić w ludziach takiego zaufania jak przez nałożenie rąk do błogosławieństwa.

Czyżby odezwała się we mnie zazdrość małej duszy? Jestem jednak całkowicie przekonany, że obecne czasy nie tęsknią za księżmi u władzy państwowej. Niechaj oni będą pierwszymi i ostatnimi biedakami. Aby o nich nie mówili: ksiądz jest tylko człowiekiem, lecz żeby mówili: w tym księdzu — to dopiero człowiek.

Mój poprzednik musiał zrezygnować po tym, jak wyznał, że za pieniądze funduszu misyjnego, kupił futro pewnej znanej szwaczce. Nie cieszę się z jego nieszczęścia, ani też źle mu nie życzę, we mnie prawdopodobnie znalazłyby się takie same ciągoty. Ale ja nie mogę nic poradzić na to, że szaleńczy śmiech ściska mnie za brzuch, gdy wyobrażam sobie, jakie mają miny panie, gdy z naprzeciwnika nadchodzi szwaczka Matylda w swoim futrze.

Jestem księdzem tylko dla chleba. Ale kogo to bardziej szokuje oprócz mnie samego? Bóg miał coś na myśli, gdy nie zadbał o moją przyszłość jako pisarza dreszczowców.

Czasami na drodze mijają mnie szewc Miettinen (wielki z niego mruk jak na mężczyznę). Nie spojrzysz na mnie, chociaż na pewno mnie zna. Wydaje mi się, że spluwa za mną. Mówi się, że szewc jest chyba jakimś wrogiem kościoła.

Miałem ochotę już wiele razy uciąć pogawędkę z szewcem Miettinenem. Ale co ja bym mu powiedział, dowcipy?

Schudłem znowu ostatnimi czasy. Dostrzegam, że dobrzy ludzie patrzą na mnie z zaskowaniem. Wiem, co oni myślą w swoich złotych sercach.

Ale to wynika tylko z brzucha. Miałem zawsze słaby żołądek, a ostatnimi czasy jeszcze słabszy niż zwykle. Czegoś takiego nie można powiedzieć z ambony.

Pastorze Raita, pastorze Raita, teraz wiem, kim ty jesteś. Ty jesteś tym brzuchomówcą w starym dowcipie.

Pastor wchodzi sobie przez drzwi z trzewikami pod pachą.

— Niechże pastor usiądzie teraz na taborecie i pogadamy.

Niech pchnie te rupiecie na bok, to się zmieści.

Pastor zaczyna coś na temat tych trzewików, ale ja pytam się jego:

—A pastor to już stary mężczyzna? —Jaki on stary, zaczynam wyjaśniać od razu:

—Ja tylko tak, bo czy pastor zastanawiał się już, dokąd to się trafia jak się umrze?

—Tak, zastanawiałem się, a czy Miettinen zastanawiał się już nad tym?

—No tak, do diabła, ale nie potrafiłem tak naprawdę myśleć o tym. Powiedzże więc pastorze, gdzie ja to trafię, jak wyciągnę kopyta?

—O tym wie tylko Jeden Jedyny.

-Kto?

—On. No Miettinen wie, kogo mam na myśli.

—No, ale ja nie wiem, dokąd *to* trafię, a tak w ogóle *to* jest dla mnie ważne. No jak pastor myśli? No tak, tam będą się przypalały moje własne kłaki, jeżeli wrzucą mnie do tego ognistego miejsca. Złości mnie to, bo się nie wie na zaś dokąd wrzucą.

—Trzeba żyć tak, żeby wiedzieć.

—Co jest źle w moim życiu? Nic! Bóg przecie dobrze wie, z czego się składa Jafet Miettinen. I wie też, że to wszystko na lepsze życie nie wystarcza, oj.

—Jeśli brakuje wiary...

—Nic dziwnego, gdyby brakowało. Słuchajże pastorze, kiedy mówię, że religia została daleko w tyle za resztą rozwoju.

—O co Miettinenowi chodzi?

—Chodzi mi o to, że religia nie podążała wraz z rozwojem człowieka. Dlatego też jest tylu takich, którzy nie wierzą.

—Religia nie jest wcale kwestią mody.

—Nie chodzi tu o modę. Ale dla mnie jest bez sensu pić wino i połykać opłatek, skoro nie ma w tym żadnego namysłu.

—Miettinen drwi sobie?

—Kurna felek, nie drwię sobie. Ale niechże sobie pastor pomyśli o tych ludziach, którzy żyli przed tym jak wynaleziono tę naszą religię. Dokąd oni poszli po śmierci, skoro nie odgadli prawidłowego sposobu wierzenia?

—To również mógłbym wytłumaczyć, ale to za trudne na głowę Miettineną.

—I ja tak uważam. Po tym jak człowiek rozwinął swoje myślenie, religia rozeschła się. Gdy próbuje się ją uchwycić, ona kruszy się.

—Wielu mądrych doszło do takiego wniosku, że wiara z dzieciństwa jest najlepszą wiarą.

—Taak, o wiarę Lutera chodzi pastorowi. Do tamtego czasu wierzono jak wierzono, aż przyszedł Luter i zreformował wiarę. I wtedy miała ona być tą jedyną i właściwą. Czy jak?

—No.

—Ale to nie mieści się w mojej głowie. Jaki był ten Luter? Normalnym człowiekiem, trochę lepszym ode mnie, Miettineną? Odważył się tylko powiedzieć, że teraz zabieramy się za remont, a dawny porządek już nie pasuje do tej religii.

—Wtedy ta kwestia dotyczyła innego rodzaju spraw.

—Innego rodzaju, oczywiście, że innego rodzaju. A teraz kwestia jest jeszcze innego rodzaju. Czy to ten Bóg powiedział komuś, że ludzie muszą wierzyć aż do końca świata po tym, co powiedział Luter? Trzeba by zreformować wiarę znowu, skoro świat poszedł do przodu.

—Miettinen mówi odważne słowa.

—Odważne, tak. We mnie znajdzie się odwagi, żeby powiedzieć choć co, ale nie w was księżach. Wy tylko mamrotacie stare rzeczy, że nie wiadomo na którym półdupku siedzieć, żeby resztki wiary przetrwały.

—Postępujemy najlepiej według naszego uznania, Miettinen.

—I nie ma co z tego robić hurra, nie ma, pastorze. Ale nic po waszym uznaniu, skoro jesteście jeszcze tacy leniwi, że nie chce się wam popatrzeć dookoła siebie. Chodzi mi o patrzeć na rozwój. Tak, burżujom to odpowiada. Wysyłają swoje bachory *do* szkół, gdzie tam one uczą się i wtedy wiedzą, w co trzeba wierzyć w danym okresie rozwoju. Ale co ze szkrabami biedaków? Biegają za wami do momentu bierzmowania, a potem nie wierzą w nic. O to chodziło Jezusowi, gdy powiedział: „Przyjdźcie do mnie”? To właśnie miał na myśli, żeby jedną część narodu utrzymywać w ciemnocie, a drugiej udzielać oświecenia? Powiedział, żeby szczeniaki bogaczy były na *przodzie* w kolejce do nieba trzęsąc bramą? Powiedział tak, ha? Do diabła!

—Czy Miettinen wierzy w diabła?

—Czy ja? CZYJA wierzę w diabła? Ani trochę.

—Miettinen jednak przeklina w. jego imię.

—Aha, tak to widzicie. Tak *to* się teraz przedstawia. Przeklinam na diabła, chociaż w niego nie wierzę. Pastor wszak przyzna, że jest w tym coś oczyszczającego, znaczy w religii.

Pastor nigdy nie przynosi mi butów do naprawy. On to chyba żadnych nie ma. No, ale właśnie tak pospierałbym się z nim, gdyby przyszedł do mnie.

Na pewno nie wziąłbym od niego żadnej opłaty. Za darmo zreperowałbym buty słudze Bożemu, chociaż Jemu nie podarowano zbyt wiele.

Przez trzydzieści pięć lat smarowałam sobie rzęsy olejkim rycynowym, aby rosły długie i podkręcone, gdyż już jako dzieciolatka zauważyłam, że brakowało mi czegoś.

Pewnego dnia przyszedł do mnie mężczyzna, który zapewne nie był dużo młodszy ode mnie, koło trzydziestki myślę. Miał mały wąsik na górnej wardze, taki co świadczy o tym, że mężczyzna uważa się za kogoś. Brzucha nie miał. Silna klatka piersiowa wyodrębniła się wyraźnie spod jedwabnej koszuli.

—Panienko, czy ma pani rododendrony?

—Nie. My nie mamy rododendronów.

—Naprawdę? Nie macie rododendronów?

—No, zainteresowanie nimi jest bardzo małe.

—Szkoda, że nie macie rododendronów. Potrzebuję koniecznie jednego na dzisiaj.

—Przykro mi. Czy nie może pan zażyczyć sobie czegoś innego?

—Niemożliwe. Nie mogę sobie wyobrazić dla niej niczego innego niż rododendrona.

—Przykro mi bardzo.

— Mrfie jeszcze bardziej. Podarowałbym go pani.

Byłam prawie pewna, że tak by powiedział. Takie czarujące gierki uprawia się na tym świecie zapewne bardzo często.

Po paru dniach przyszedł ponownie. Tym razem mieliśmy kilka rododendronów. Obcięłam parę łodyg do wazonu na okno wystawowe. Wziął jedną z nich i podarował mi ją.

To wydarzyło się piękną wiosną.

Wprowadził się do mnie po Nocy Świętojańskiej. Drugi z pokoi nadał się wysmienicie dla niego. Czasami zdarzało się, że drzwi od jego strony były zamknięte. Nazywał się Krystian, tak Krystian.

Nie podkreślałam sobie rzęs, rosły długie i zakręcone.

Pewnego zimowego wieczoru zaprosiłam Krystiana, aby zaszedł do mnie na lampkę wina. Polecono mi wino greckie, które zakupiłam pierwszy raz w moim życiu.

Przyszedł i wypił parę kieliszków razem ze mną.

Nie upiłam się, ale powiedziałam mu, że nie musi koniecznie nazywać mnie panną Sarą.

Wyszedł z siebie, stał się straszny.

Zaklął i powiedział, że nie może ścierpieć napalonych kobiet.

Mój Boże. Tak to powiedział. I odtąd już drzwi między nami były właściwie przez cały czas zamknięte.

Wyprowadził się. Nie pozdrawia mnie już ani też wcale ja jego. Nie było to przecież nic takiego poważnego, takie tylko zgrywanie się, cha, cha, cha.

Czasami rozmyślałam sobie wieczorami. Mavrodaphne stało się moim przyjacielem, rozmyślałyśmy często wspólnie. Mavrodaphne to to wino greckie. Czasem wieczorem wydaje mi się, że dopiero teraz znam kwiaty. Wiem, że one kłamią.

Gdyby Krystian wtedy na wiosnę podarował mi jakąś pożyteczną roślinę, to miałabym siłą ochronić się przed nim. On jednak chciał rododendrona i dał mi takiego. Taka świnia.

Zycie jest okrutne. Ja znam mężczyzn i znam kwiaty. Poznałam się na kłamstwie, ale muszę żyć dalej z tym wszystkim i sprzedawać kwiaty.

Rododendronów nie mamy oczywiście w sprzedaży. Ale co to zmienia?

ADAM HUTTUNEN, KONSUL TYTULARNY

Chciałbym ja wiedzieć, dlaczego los podarował mi tak strasznie dużo dzieci. Wszystkie żony rodzą mi dzieci. Już ośmioro dzieci tylko od dwóch kobiet. Czy jest w tym jakiś sens? W książkach piszą, że czym ludzie bardziej wykształceni, tym mają mniej dzieci. A ja jestem w sumie konsulem.

Oprócz tego jestem mistrzem strzeleckim.

Chętnie rozmawiałbym z ludźmi na temat strzelania. Próbowalem, ale oni nie umieją albo nie chcą. O czym wtedy rozmawiać? Z tego powodu nawet się nie odzywam, i niech tak będzie, bo ani razu mnie nie rozumieli.

Jestem, tak w ogóle, całkiem wybornym mistrzem strzeleckim.

Gdy się jest konsulem tytularnym, to trzeba aspirować i brać udział w życiu społecznym. Ale to pochłania tak niesamowicie dużo czasu. A nie starcza go nijak, jak się ma zamiar trochę poćwiczyć. A ćwiczyć trzeba, jeżeli chce się pozostać mistrzem strzeleckim.

Byłem przewodniczącym zarządu teatru. Udzieliłem wsparcia i zostałem przewodniczącym. Ale z tej funkcji mnie zdjęto. To było wszystko ukartowane, już ja to wiem. Z jakiego innego powodu usunięto mnie, skoro nie zrobiłem nikomu nic złego? A do teatru nie poszedłem ani razu. Podobno Anders Pellenius puszy się tam jak kogut na kupie gnoju.

Ja mam, tak w ogóle, całkiem mocne nerwy.

Czasami, gdy zdarzy mi się potajemnie wymknąć i spudłuję, odkładam strzelbę. Mówię sobie wtedy: „Stop, Huttunen”. Po niedługim czasie biorę ją i strzelam. Jeżeli znowu chybię, odkładam ją i mówię sobie: „Stop, Huttunen”. W taki sposób stałem się mistrzem strzeleckim.

Wielu pyta mnie o moje tajemnice. Nic im nie mówię. Jeżeli człowiek nie potrafi sam sobie powiedzieć „Stop, Huttunen” to niechaj pudłuje.

A skąd to się bierze, że gdy przyjmuję nowego kierownika wydziału, ten po trzech dniach jest ze mną na „ty”? Dzwonią do mnie na strzelnicę i mówią: „Cześć! Chyba nie przeszkadzam?” Oczywiście, że przeszkadzają.

Kiiskinen leży w szpitalu. Trzeba pójść zajrzeć do niego w jakiejś wolnej chwili. Nie zainteresował się strzelaniem. Produkował tylko taśmowo i bez opamiętania. To jest jego własna wina, że leży w szpitalu. No, ale i tak można by go odwiedzić. Jak zdążę.

Signora to dobre cygaro. Wystarczy na czterdzieści pięć minut, jeżeli nie ma pośpiechu. Nie trzeba niepokoić sobie głowy niczym przez trzy kwadransy. Signora to dobre cygaro.

Podaruję puchar na konkurs kół strzeleckich. Nasze koło go *wygra*. Wtedy puchar może stać sobie na mojej szafie pancernej w biurze.

Gdybym miał już dorosłe dzieci, można by mieć już spokój. Ale ich przybywa, ciągle tylko więcej. Trzeba mieć dobre nerwy w tych igraszkach losu, że tak powiem.

Stalowe nerwy są potrzebne i w życiu i w strzelaniu.

Niech diabli wezmą wszystkich lekarzy!

Poszedłem do lekarza, kiedy trochę bolało mnie w piersi. Powiedziałem, żeby mi dał jakieś krople albo pigułki? Dał? Akurat! Teraz leżę w szpitalu, nie mogę ruszyć pletwą. Oni wiedzą, że bynajmniej nie jestem biednym facetem, dlatego leżę tu teraz jak uziemiony. Leżącego mężczyznę łatwiej oskubać niż takiego na chodzie.

Nieprzyjemnie tu śmierdzi, obrzydliwie. Te szpitalne zapachy nie dają człowiekowi spokoju. Na wsi są dobre zapachy. Wiadomo, z czego się biorą. W pociągu też jest dobry zapach, i w warsztacie samochodowym też. W moim biurze pachnie jednak najlepiej.

Zator, zaczopowanie, jakie cholerne zaczopowanie? Czy moje serce to jakaś butelka czy beczka, co się zatyka albo zakorkowuje? He he, nie jest ze mną aż tak źle, jak na to wygląda. Trzymam się do końca, a to tylko żarty, zawsze był ze mnie taki dowcipny facet. Tak tak, ho hoh.

Cholera, jeszcze jakoś by tu uszło, gdyby nie było tych godzin odwiedzin. Kobicinki tłoczą się przy łóżku, znaczy małżonka i synowa. Syn — łebski chłopak, nawet nie przyjdzie. Żona płacze rzęsistymi łzami, bidulka, a synowa kłamie, że mąż przesyła pozdrowienia. Im jest źle, tym gościom z grzeczności, ale mnie jeszcze gorzej. Trzeba powiedzieć lekarzowi, żeby zabronił tych wizyt. Niech im powie, że stan jest ciężki. Wtedy do-

piero baba i synowa będą mieć robotę, żeby poszukać wierszyka na wieniec.

Pewnie, wiem, że tu najbardziej chodzi o czasową ugodę, o kompromis kilku miesięcy. To czuje w kościach człowiek rozumny, który umie dodawać jeden do jednego. Trochę zwłoki, a potem bankrut. I trzeba zamknąć interes.

Stiina to dobra dziewczyna. Dobra z niej dziewczyna. Mówię o niej jak o dziewczynie, chociaż syn ją już w szkole zrobił ciężarną. Skąd się mogło uzbierać tyle rozumu w takiej ślicznej główce. Chłopak myślał, że jest specem, ten głupek, chociaż pewnie tak myśli większość chłopów w tym wieku. Miał zamiar pofru-wać jak truteń, i tak też zrobił. A potem przyszła jedna słodziutka, okrąglooka uczenniczka, i powiedziała „mam cię”. No tak! Stiina nie musiała pisać wypracowań ani chodzić do konserwatorium, chłopka złapała nie na wyuczoną sztuczkę. Teraz chłopaka nie ma co chwalić, ale mógłby jej się trafić gorszy. No w sumie chyba między nimi nie ma takich dużych różnic.

Dlaczego nas, biznesmenów, uważa się za prostaków, gdy chodzi o delikatniejsze sprawy? Czy istnieje powód do takich opinii? Przyznaję, nie chodziło się do szkoły. Ale jak się jest kulturalnym i ma się dobre serce? Budowano dom modlitwy tam na przedmieściach. Panie zbierały pieniądze, wbiły sobie do głowy, że i na peryferiach jest też Bóg, Któremu trzeba zrobić chatę. „Fabrykancie Kiiskinenie — mówiły — młodzieży z przedmieść grozi deprawacja. Znając wasz charakter społecznika i...” - nie pamiętam już, co tam one mamrotały.

Ja nie mam żadnego charakteru, powiedziałem. A dzieciakom z przedmieść nie grozi nic prócz pań ze śródmieścia. Nie mam żadnego charakteru, ale mam serce, które jest w porządku. Jeśli kiedyś Bogu z przedmieść miałyby grozić bezdomność, to jasne, trzeba Mu będzie wybudować jakieś mieszkanie. Ja dam okna i drzwi, z naszego zakładu. Pasuje, he?

To był pierwszy wielki dar, znane osoby nie mogły zostać w tyle. Te osoby kłęły, ale moim zdaniem, to nieładnie kłąć, gdy się coś darowuje na dom modlitwy.

Dałem okna i drzwi. Tak się złożyło, że na składzie były takie, co pasowały. Właściwie docelowo były zrobione na dobudówkę do świetlicy, ale skoro było opóźnienie, to dałem na dom modlitwy. Zdążyły też już trochę nadpleśnieć. Ale słoneczko Boże przez te ramy też może świecić do środka, jeśli akurat świeci. A drzwi pasują akurat byle grzesznikowi, żeby wejść do środka i dokonawszy ozdrowienia wysliznąć się na zewnątrz. Ja jestem pewien, że nasz Pan nie zważa za bardzo na te drewniane sprzęty. Na pewno On bardziej patrzy w serce ofiarodawcy, a tu znów nie mam żadnej usterki, prócz tego zatoru. Tam to dopiero człowiek dokładniej się dowie, jeśli teraz przyjdzie stąd odejść.

Huttunena jeszcze do siebie zaproszę, jeśli lekarz bardziej wzmoże *Straszenie*. Huttunen to nie żaden duszpasterz, tylko taki sobie konsul tytularny. Trzeba by też zaprosić pastora, ale kiedy indziej. Ja lubię pastorów. Dziwni ludzie. Nie zabierałbym się tylko do piastowania tak biednego stanowiska w tak biednym miejscu. Ale to już jego sprawa, takich ludzi przecież między nami też potrzeba.

Huttunena zrobili konsulem tytularnym po tym jak nie zde-fraudował pieniędzy Czerwonego Krzyża, chociaż były w jego posiadaniu w czasie wojny. Z głupoty Huttunen tak zrobił, ale jeszcze bardziej głupio by zrobił, gdyby je zdefraudował. Tacy Huttunenowie zaraz wpadają jak coś próbują. Oni są cnotliwi, bo nie umieją kombinować.

Posadzę Huttunena tutaj przy mnie. Słuchaj, konsulu tytularny, pewnie umrę. Huttunen będzie próbował się wzruszyć i wycierać nos, nic innego nigdy nie robił będąc konsulem tytularnym. Spróbuje może zaprzeczać, że przecież wydajesz się jeszcze taki.... Ale zaraz ripostuję: zamknij swoją wstrętną mordę, konsulu, jam jest umierający facet, i ze mną nie przystoi się kłócić.

—Wiesz co? — pytam konsula.

—No co?

—W zagrodzie przy moim domu jest baran, taki zwykły baran.

—No tak, chyba jest u ciebie.
—Zrobiłem w związku z nim testamentowe postanowienie.
—W związku z baranem?
—Testamentowe postanowienie w związku z baranem. Jego nie można zabić, on ma umrzeć śmiercią naturalną.
—Doszedłeś do pięknych myśli tu, na swoim łożu śmierci, Kiiskinen.
—Owszem. Baran ma umrzeć śmiercią naturalną. Barany mogą żyć dość długo.
—Ty masz naprawdę dobre serce pod grubą skórą, Kiiskinen.
—Taaa. — A kiedy otworzą ten testament, to zobaczą jeszcze jeden paragraf: baran ma być od tego dnia nazywany konsulem tytularnym.
Hi hi, Huttunen zacznie oczywiście wrzeszczeć. Ale ja naciskam dzwonek i mówię, że obecność tego konsula tytularnego źle na mnie wpływa, wyrzucicie go. Żegnam i pozdrowienia dla małżonki, *konsulu tytularny*.
Gdybym nie zapomniał, to wtedy zanuciłbym tę pieśń, że ... oj, czy pamiętasz jeszcze tę pieśń?* No kiedy nie pamiętam. Tak prywatnie można by przecież zanucić.
Trzeba by napisać kolegom, że biznesmenowi też warto w życiu nauczyć się choćby jednej pieśni na pamięć. Nigdy nic nie wiadomo. W rezerwie trzeba mieć wszystkiego po trochu. Pieśni nie pleśnieją.

Aluzja do wiersza fińskiego poety Eino Leino *Oi, muistatko pieldsen i/irren?...* ('Oj, czy pamiętasz jeszcze tę pieśń?...') ze zbioru *Ydkehrdaja* z 1897 r.

Jestem już w dość podeszłym wieku, mój Boże, jaka ja stara już jestem. Moje dni zbliżają się ku końcowi. Jednak dobry Bóg pozwolił na *to*, aby właśnie pod koniec mojego życia zdarzyło się jeszcze coś niebywałego. Złamałam sobie nogę.

Po zebraniu w Chrześcijańskim Stowarzyszeniu Młodych Kobiet byłam w drodze do domu. Przed Bankiem Państwowym poślizgnęłam się na równym chodniku. Trzask i moja noga złamana. Od razu prędko do szpitala, a stamtąd powołutku o kulach. Potrzebuję ich jeszcze do dziś. Ale przed tym jak mnie wniesiono do ambulansu, sprawdziłam stan chodnika. On nie był w ogóle posypany piaskiem!...

Po tym jak wyszłam ze szpitala powiedziałam Andersowi, mojemu synowi:

—Jesteś wybitnym prawnikiem. Wniesiesz moją sprawę do sądu przeciw Bankowi Państwowemu i zażądasz odszkodowania.

- Szkoda fatygi, matuleńko. Bank *Państwowy* nigdy nie przegra sprawy.

- Widziałam obydwie strony. Widziałam jak sprawiedliwość wygrywa, chociaż jestem wdową po prawniku. Załatwisz tę sprawę?

- Uspokój się, mamo. Bądź rozsądna...

No. Anders próbował mnie uspokoić, a ja uspokoiłam jego. Poprowadził tę sprawę w sądzie. Anders wiedział, że inaczej wzięłabym drugiego prawnika.

Z tego zrobił się długi proces. Przedstawiciel Banku Państwowego wygłaszał wprowadzające człowieka w szal twierdzenia. Gdyby wierzyć w jego słowa, to kruche kości takiej starej kobieciny nadają się już tylko do łamania się.

Ale Anders wygrał, oczywiście. Utalentowany chłopak, on zajdzie jeszcze daleko. Odziedziczył po ojcu tupet, a po mnie rozum.

Ogłoszono, że nieposypanie piaskiem chodnika było winą banku. Bank skazano na zapłatę stu tysięcy. Co za szczęśliwy dzień! O tym wydarzeniu mówili wszyscy. O mnie również.

Po co mi te pieniądze, mnie, do grobu chylącej się babuli? Ale chodziło o całą resztę.

Anders wyjaśnił mi dokładnie na dokumentach, jak wysoko wzrosły koszty procesu. No chyba tak, wiele było tych rozpraw. Dziewięćdziesiąt tysięcy poszło na koszty sprawy, a mi pozostało dziesięć.

Ach, ten *złoty* chłopczyzna, mój Anders. O nim naprawdę będzie jeszcze głośno. Oskubał nawet swoją własną starą matkę, i to w mgnieniu oka. Słusznie boją się go w mieście. Nie boję się go tylko ja.

Będąc w szpitalu zaszłam o kulach z wizytą do Kiiskinena. Umierał tam na zakrzepicę.

A tam, niech sobie zobaczy jeszcze żonę sędziego.

—Ode mnie nie uciekniecie, fabrykancie Kiiskinen.

—Wygląda na to, że chyba teraz.

—Najlepiej to się pospieszyć, jeżeli *się* zastanawiacie.

—Czy sędzina dalej uważa, że ja, Kiiskinen, jestem największym szachrajem w mieście?

—Tak, nadal.

—Dziękuję.

—Nie ma za co. A czy Kiiskinen to jeszcze jest tego zdania, że ja jestem jak stara sieć rybacka?

—Co komu na swój wiek.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, chyba pierwszy raz w taki sposób, jak ludzie powinni się uśmiechać.

—Na co ten stary sędzia umarł?

—Nie wiem, chyba z picia koniaku.

Znów się uśmiechnęliśmy. Któżby w mieście nie wiedział tego, że stary sędzia umarł właśnie na zator. Przy drzwiach powiedziałam:

—Zabierzcie ze sobą pozdrowienia.

—Dziękuję, zabiorę. Jeżeli spotkamy się w tym samym miejscu.

—Do zobaczenia, fabrykancie Kiiskinen.

—Do zobaczenia, sędzino.

IZRAEL JULKUNEN, WŁAŚCICIEL KAMIENICY

W roku piętnastym wykupiłem sobie i żonie miejsce na grób. Byliśmy wówczas już rok małżeństwem. Na naszym cmentarzu są bowiem bardzo różne miejsca na groby, co wynika z nierówności terenu. Niektóre miejsca są bardzo dobre i suche, a drugie mogą być znowuż naprawdę wilgotne.

W roku piętnastym dowiedziałem się, że suchych miejsc było już coraz mniej. Udało mi się jednak jeszcze zdobyć jedno takie po znajomościach. Gdzież tam my, młodzi ludzie, nie mieliśmy wtedy dużo pieniędzy na dodatkowe rzeczy, ale groby nie kosztowały wtedy drogo. Inaczej niż teraz. Myślę sobie, że w gruncie rzeczy to nie był najgorszy interes.

W każdym razie najważniejsze jest *to*, że nasze miejsce jest suche. Jestem pewien, że nie ma bardziej suchego i piaszczystego kawałka na całym cmentarzu. W każdym bądź razie ani moja żona ani ja nie zauważyliśmy żadnego takiego, gdy poszliśmy zobaczyć cmentarne parcele. Zwykliśmy chodzić na naszą działkę często.

Pomyśleć sobie, że stary burmistrz dostał się do takiej mokrej gliny. A był on przecież przyszłościowo myślącym człowiekiem, ale na takie rzeczy nie potrafił się przygotować. Burmistrzowa dopiero po śmierci burmistrza wybrała miejsce pochówku, spoglądając tylko na mapę w biurze parafialnym i nie zachodząc w ogóle na parcele grobowe. Ale i tak, przejście się na miejsce pochówku nic by nie dało, bo suche miejsca były już wysprzedane.

Podobno burmistrzowej jest przez cały czas strasznie przykro, gdy się tę sprawę bierze na języki. Tak mówi moja żona.

Najbardziej lubię śledzie, solone śledzie. Sól tak w ogóle jest bardzo ważna w odżywianiu. Można na przykład dodać sporo soli do masła, a masło z mleczarni jest za mało solone. Ale gdy się doda do niego wystarczająco dużo soli, takie masło jest o wiele lepsze i wystarcza na dłużej.

Moja żona w młodości bardzo lubiła potrawy mięsne. Nie miała jeszcze wówczas pojęcia o sprawach żywieniowych. Pozwoliłem jej jeść mięso, nie wypominałem jej tego. Ja osobiście gustuję w śledziach, ziemniakach i owsiance. W nich kryje się zdrowie i siła. W naszej rodzinie to do moich zadań należy kupowanie jedzenia. Tb jest przecież zupełnie naturalne w rodzinie, w której docenia się oszczędność. Handlarz mięsem Kinnunen jest moim starym znajomym, od niego dostawałem po znacznie korzystniejszej cenie kawałki, które lekko się zieleńiły. Pewnego lata moja żona miała zatrucie pokarmowe. Była naprawdę poważnie chora. — Wydaje mi się, że to za sprawą potraw mięsnych, kochanie — powiedziałem. Moja żona uwierzyła mi i obecnie też nie preferuje mięsa. Czasami, gdy pytam ją żartobliwie, czy chce, abym przyniósł jej kawałek kielbasy, to odmawia serdecznie kiwając palcem.

Nie wiem, co czeka nas, biednych właścicieli nieruchomości. Podatki są naprawdę okropne. Jakie jest *to* państwo prawa, gdy się w taki sposób narusza prywatne prawo własnościowe? Wcześniej *można*, było całkowicie żyć z wynajmu, a teraz musiałbym na pewno iść gdzieś do pracy, gdybyśmy nie żyli tak skromnie.

Ta odrobina, co jest włożona do banku, nie jest tam po to, żeby ją wyciągać. Poza tym, tam wcale nie ma tego dużo. Nie wystarczyłoby nawet, żeby kupić dom.

Szanowni właściciele nieruchomości, obdarzcie swym zaufaniem listę nr 13. Właściciel kamienicy, Izrael Julkunen jest człowiekiem, który mówi prawdę o zakłócaniu spokoju przez ruch uliczny.

Gdybym była o pięć centymetrów wyższa, zaproponowano by mi zapewne bycie modelką. Ale musiałam w dzieciństwie ciężko pracować i do jedzenia dostawałam tylko wodniste ziemniaki, dlatego nie wyrosłam na wysoką. Brzuch ziemniaczany zniknął później, ale na wroście mi nie przybyło.

Gdybym to ja miała typ urody mojego brata! W tym mężczyźnie jest wielkość i wygląd. Od czasu do czasu wpada do mnie tak sobie w czasie podróży z więzienia tymczasowego do więzienia wojewódzkiego i na odwrót. Brat lubi mnie bardzo i ja go również.

Kiedy przeglądam się w domu w lustrze, to nie mogę powiedzieć, że nie mam soczystych kształtów. Gdy się patrzy dokładnie to mam zielone *oczy*, szmaragdowozielone.

Z racji zawodu myślę o każdym człowieku najpierw źle. Nie chciałabym tak myśleć. Próbuję naprawdę myśleć o wszystkich najpierw dobrze. Ale co powinno się myśleć o mężczyźnie, któremu jedna butelka wody Vichy wystarczy na trzy grogi?

—Kelnerko, wezwijcie kierownika sali.

—Tak jest, panie sędzio.

Kierownik zapala mu papierosa. *Do* tego potrzebny jest naturalnie sam kierownik sali. A robi on to jeszcze tak, jakby rozpałał święty ogień na jakimś ołtarzu. Potem kierownik wpada jednym susem:

— Zanieście whisky panu Pelleniusowi! Pospieszcie się!

- Tak, oczywiście, zaniósę whisky panu Andersowi. Mogę się też pospieszyć.

Pół godziny później:

- Panienko, przynieście drugą. Wody wystarczy. I

znowu pół godziny później:

- Panienko, jeszcze jedną. Wody wystarczy.

Na koniec pisze swoje nazwisko na drugiej stronie rachunku, nawet nie chce mu się wyciągnąć swojego portfela. Czyli też nie będzie żadnego napiwku. Siedział tam godzinę sam, potem odpłynął w swoim zapachu wody kolońskiej do włosów. Odźwierny też nastąpił na darmo.

Dokąd taki mężczyzna idzie? Pewnie zobaczyć do swoich ksiąg, ile procent tej restauracyjki jest jego własnością. Jeśli o mnie chodzi, niech idzie, gdzie tylko chce.

Wtedy, gdy wreszcie trafię szóstkę, to wiem co zrobię.

Najpierw podaruję trochę Armii Zbawienia, tej babci, która krąży tutaj z tą puszką. Nie podaruję dużo, ale trochę, tyle, żeby sumienie było w porządku. To jest ważne. A resztę jakoś zagospodaruję.

Brata wyślę do Australii. Tam hoduje się dużo owiec. Z niego będzie na pewno dobry pasterz.

Do banku włożę dużo, całkiem sporo, to jest więcej niż jasne. Rozsądnie byłoby też spytać o radę jakiegoś znajomego sędziego, żeby mnie nie wyrolowali z pieniędzy. On oczywiście zażyczy sobie za to wysoką opłatę, ale chyba nic na to nie można poradzić, być może będę mogła odliczyć sobie to od podatku.

W miarę możliwości kupię sobie samochód, ale to nie jest jeszcze pewne. Samochodem wygodnie jechałoby się rano do pracy. Tak, właśnie, przestałabym pracować na zmiany poranne i wieczorne.

Rankiem będę sobie robić kawę, nie będę się jeszcze ubierać. Będę się wylegiwać długo w łóżku i czytać gazetę. Ohoho, ja na pewno coś wykombinuję. To rozmyślanie trzeba zachować sobie do łóżka na wieczór.

O wielki Boże, do dentysty muszę oczywiście pójść.

Czy życie to jakiś żart?

Na to pytanie, osobiście samemu sobie zadane, śmiem odpowiedzieć stanowczo negatywnie: nie jest. Młodzi prawnicy, którzy robią szum w holu urzędu miasta, czasami nawet razem ze starszym radcą prawnym F. K.-manem (w drodze na posiedzenie po krótkich odwiedzinach w barze), wyglądają jakby byli właśnie tego zdania, że życie jest dowcipem. Ale oni mylą się jeszcze bardziej. Jeżeli kogoś bawi mieć stojące włosy na głowie, naśladować w ten sposób swojego poprzednika, Pulkkinena, szanowanego pracownika magistratu, to nie powinno być w tym niczego szczególnego ani też nie powinno być powodem nazywania kogoś ustawicznie ryżową szczotką.

W pewnym wpływowym czasopiśmie był artykuł o moralności młodszej rady adwokackiej. Mam dokładnie taki sam pogląd na tę sprawę. Tym praktykantom w sądzie okręgowym mógłbym uzasadnić to i owo biorąc pod uwagę mój wiek i staż. Nie wątpię, że w przyszłości tak zrobię, wtedy gdy ostatecznie zadecyduję o doborze słów.

Przez trzydzieści jeden lat, w każdy dzień powszedni, nie licząc sobót ani też dni świątecznych, dokładnie o godz. 10, otwierałem drzwi sali rozpraw w sądzie okręgowym i oznajmiałem wówczas donośnie „Ronkainen przeciwko Litukka”, oczywiście biorąc pod uwagę, że te nazwiska są wymyślone i że nazwiska w innych sprawach się zmieniały.

Poza tym, dostarczałem pozwy i wykonywałem inne zadania określone w rozporządzeniu obowiązków mojej posady oraz przynosiłem piwo dyżurującemu sędziemu M. Natomiast dla J. po świętach i uroczystościach. Wyżej wymieniony mój poprzednik, świętej pamięci pracownik urzędu miejskiego P-nen zachęcał mnie w tej kwestii do przymykania oka na słabość dyżurnego sędziego.

Mam syna, który urodził się ślepy, a będąc małym dzieckiem stracił słuch. Obecnie jest on już dorosłym mężczyzną.

Bardzo lubię poezję, a szczególnie poezję niemiecką, po tym jak nauczyłem się tego języka w szkole wieczorowej. Heinrich Heine jest u mnie, że tak powiem, na pierwszym miejscu. Ale również Hermann Hesse jest wybitnym poetą. Stworzył on następujące wersy, do których odnoszę się z szacunkiem:

*Seltsam im Nebeln %u wandem,
Leben ist Einsamseit, Niemand
kennt den andern, Jeder ist
allein**

Zrobiłem tłumaczenie niniejszego wiersza, ale ta interpretacja zobaczy światło dzienne dopiero po mojej śmierci, o ile w ogóle wtedy.

W domu rozmawiam dużo z moim synem. To odbywa się w ten sposób, że dotykam delikatnie koniuszkami palców jego

* Artur Riippa przytacza ten fragment niezbyt niedokładnie i z błędami. Poprawnie ta strofa brzmi:

<i>Seltsam, im Nebel scu wandem!</i>	'Dziwna wędrówka we mgle,
<i>Leben ist Einsamseit.</i>	Samotnością jest życie,
<i>Kein Mensch kennt den anderen,</i>	Nie znamy się należycie,
<i>jeder ist allein.</i>	Każdy samotny jest.'

Jest to ostatnia strofa wiersza pt. *Im Nebel*, opublikowanego przez Hermanna Hessego w zbiorze *Unterwegs*, wydanym w 1911 roku. Tłumaczenie polskie Krzysztofa Lipińskiego, wiersz *We mgle*, w tomiku *Wiersze. Sen o wyspie*, Kraków, Miniatura, 1996, s. 16.

dłoni i telegrafuję. Ten rodzaj rozmowy jest wynikiem długotrwałych i skondensowanych ćwiczeń. Wiem, że mój syn czeka gorliwie na ten wieczór, gdy nie będę musiał więcej dostarczać pozwów. Często telegrafuję mu te moje ukożane niemieckie wiersze; oczywiście przetłumaczone. Wydaje mi się, że wszystko z nim w porządku, nie bacząc tylko na jego ułomność zmysłów.

Jak z powyższego można się domyślić, jestem żonaty.

W czerwcu 1934 roku chodziłem oglądać filmy. Aktorem był Heinz Riihmann*. Nie lubiłem go, bo przypominał mi praktykanta z sądu okręgowego. Było wręcz jasne, że brakowało mu głębi wyrazu. Niestety muszę reprezentować ten pogląd jeszcze do dnia dzisiejszego.

Byłbym zdecydowanie za tym, żeby płace pracownika urzędu miejskiego podnieść o dwa stopnie, jeżeli budżet w ogóle by na to pozwolił.

Heinz Riihmann (1902-1994) był jednym z najslawniejszych aktorów niemieckich XX wieku. Szczyt jego popularności przypadł głównie na lata 30', kiedy występował w większości filmów produkowanych w Niemczech.

Jestem tego zdania, że człowiek to zupełnie nic nieznacząca istota. Mianowicie, gdy wyobrażam sobie wszechświat i przestworza i tak dalej. Kim jest człowiek? Jest tylko pyłkiem. Nie, nie żebym wypierała się Boga, bo myślę o przestrzeni jak najbardziej z wiarą. Nie do wiary, jakie uczucie napęła duszę, kiedy myśli się o przestrzeni. Czasami wieczorami, gdy leżę i nie śpię a sen nie zsyła mi żadnego pocieszenia, czuję się strasznie mała i samotna. Nie powinnam chyba pić kawy na wieczór.

Żona konsula Huttunena zaczęła malować porcelanę. To oczywiście bardzo dobrze, że ludzie mają jakieś hobby. Poza tym, podobno malowanie porcelany rozwija zmysły artystyczne.

Wysłałam za mąż za mężczyzną dużo ode mnie starszego. Czy przysporzył mi wiele radości? — pytacie. Ja nie odpowiadam na wścibskie pytania. Urodził nam się syn, który jest ślepy i głuchy. Artur uczy biedaka rozumienia z telegrafu. Długimi wieczorami siedzą i stukają sobie w dłonie. Chłopak na pewno nie rozumie połowy z tego, co ojciec mu telegrafuje, na pewno nic z tych szalonych niemieckich wierszy. Właściwie on jest jednak chłopcem grzecznym i o dobrym usposobieniu. Tak jakby Bóg stworzył go takim tylko dla ojca. Nie rozumiem.

Mówcie, co tylko chcecie, według mnie rozwód jest grzechem. Tak mnie wychowano. Konsul tytularny Huttunen żyje już z drugą żoną. Jego pierwsza małżonka rozwiodła się z nim mówiąc, że przyczyną było to, że nie pasowali do siebie, i że życie rodzinne

nie było harmonijne. Pomyśleć tylko, harmonijne! Któż to teraz ma tak harmonijnie, Boże drogi. Któż teraz nie tęskni za czymś lepszym! Na przykład za treścią życia! Ale nie, nie, - chociażby życie było tylko samym telegrafowaniem, od rana do wieczora! *Ja* nigdy nie zhańbiłam się planowaniem rozwodu. Raz na zawsze zakazałam sobie myślenia o takich sprawach.

Byle kto może malować porcelanę, jak tylko są pędzle i farby, ale wypalanie w piecu może podobno robić niezłe niespodzianki tym, którzy nie mają zdolności ani też właściwych dyspozycji.

Gdy byłam małą dziewczynką, mieliśmy w domu na wierzchołku choinki zawsze wielkiego papierowego aniołka. Mama i tata mówili, że wyglądam dokładnie jak on. No wiecie: długie, podkreścone rzęsy, złociste włosy, słodkie dołeczki w uśmiechu.

Czy niebo nie jest takie samo jak przestrzeń? Aniołki fruwały w przestrzeni, niewidzialne, tak to sobie wyobrażam. Wobec przestrzeni wszystko jest tak małe, zwłaszcza ludzie. Aż żal tych biedaczków. Taki nic nie znaczy, nawet gdyby było się żoną konsula tytularnego, a może wręcz odwrotnie. Tam gdzieś grają harfy i śpiewa się pieśni, tam jest doskonała harmonia, w niebie nie maluje się porcelany.

Nie wyobrażam sobie, co zrobiłabym, gdyby nie było Ojca Niebieskiego.

Ale gdybym musiała ponownie wyjść za mąż, to w żadnym wypadku nie przyjąłabym za męża rozwodnika, którego zostawiła żona. O nie!

Ręce taty są suche i ciepłe. Ręce mamy są wilgotne, przynosi mi nimi jedzenie.

Mama nigdy nic do mnie nie mówi. Ona musi być dość nie-szczęśliwa, a ja nic nie mogę na to poradzić. Ojciec telegrafuje mi czasami wieczorem o mamie. Ona jest piękną kobietą, mówi ojciec. O niej nie ma chyba nic więcej do powiedzenia. Przynajmniej ojciec nie ma.

W ciepłe dni siedzę na schodach. Tam jest tysiące zapachów. Czuję zapach trawnika i drzew. Poznałem też już wiele innych zapachów, ale większości nigdy nie będę znał. Chciałbym żyć długo, świat jest taki cudowny, pasjonujący.

Gdy pada deszcz, nie mogę siedzieć na schodach. Ja wiem, że deszcz mógłby mi na dłoni zatelegrafować dużo rzeczy, aż do nieskończoności. Mógłbym to zapewne zrozumieć, ale zabierają mnie stamtąd. Gdy jest się ślepym i głuchym, trzeba dobrze chronić swoje zdrowie, tak mi mówią.

Raz byłem w Domu Bożym. To była uroczystość pełna smacznego jedzenia; nazywa się ją Bożym Narodzeniem. Jakżeż tam było dobrze, chociaż ludzie śmierdzieli tak niemiło. Ale tam było dużo ludzi, prawie to słyszałem. W następne Boże Narodzenie trafię tam ponownie, jeżeli będę przy życiu. Tak mi ojciec przyrzekł.

Umiem się modlić, nauczyłem się tego w kilka dni. Czasami modłę się, żeby mama i tata oślepli. Widzieliby wtedy to, co ja widzę. Chciałbym, żeby oni też mieli coś do oglądania.

Bóg był dla mnie dobry, nie słyszę nawet własnego głosu.

Grozili, że mnie, urzędnika miejskiego, zwolnią ze względu na lenistwo. Akurat!

Żona pana Andersa chciała do poczytania *Dziwne losy Jane Eyre*.

—Nie ma w domu — powiedziałem.

—Czego nie ma w domu?

—*Jane Eyre* nie ma w domu. Jest w odwiedzinach, wypożyczona, znaczy się.

—Kto ją wypożyczył?

—O ile pamiętam, pani Nieminen.

—A kto to ta pani Nieminen?

—No przecież jest tylko jedna pani Nieminen, Nieminenowa.

— A czy termin wypożyczenia już nie minął?

-Nie.

—A czy może pan jednak posłać po nią i powiedzieć, że ja chcę przeczytać *Dziwne losy Jane Eyre*?

—Nie mogę.

—Pan tylko nie chce.

—I również nie chcę.

I tak to się stało, że grozili mi usunięciem ze stanowiska z powodu lenistwa.

Ale ja im powiedziałem, na miłość Boską^ złapcie wreszcie za swój rozum. Przecież z takiego stanowiska nie można nikogo usunąć za lenistwo. Bibliotekarz w tym mieście nigdy się nie

napracował, i pewnie nigdy nie napracuje, przy takich waszych marnych nakładach finansowych, tak że schrzaniacie stąd z waszym lenistwem, wy najbardziej pracowici.

Tak ja im powiedziałem, chociaż jestem takim starym morsem.

Olli Reinikainen szedł dzisiaj w¹ moją stronę, powiedziałem uprzejmie dzień dobry. On jest teraz lekarzem, już zresztą od kilku lat. W liceum czytał Dostojewskiego, taa, taa. Nic dziwnego, że z niego nie jest porządny lekarz. Ten Reinikainen to w ogóle niczego nie umie, wszyscy tak mówią. Ludzie tak dobrze znają się na medycynie. Gdyby Reinikainen zrozumiał i brał trochę więcej za wizyty, to by się poprawiła opinia na jego temat. I gdyby jeszcze wypisał od czasu do czasu świstek na spirytus, ale nie i nie. Nie powinno się czytać za młodu Dostojewskiego.

Po synu Pelleniusa spodziewałem się czegoś. To był bystry chłopak. Często wieczorami był właśnie tutaj, przeskadzał i zadawał pytania, chociaż jego ojcu nie brakowało wcale książek w domu. Na sankach woził do domu filozofię i historię. No pokaż teraz i zacznij uczyć się na prawnika, mądry młodzieniaszku. Ale co mnie to obchodzi. Ja już wtedy trochę wyczulem, kogo tak naprawdę się nabiera tą historią i filozofią. Oczywiście nauczyciela od przedmiotów głównych.

W każdym razie ten chłopak wyrósł na nieźle nadętego. Próbuje nawet zepchnąć urzędników miejskich ze swoich stanowisk z powodu powieści swojej żony.

Póyhönen podobno został zwolniony ze swoich obowiązków redaktora naczelnego. Anders Pellenius jest teraz szefem również w „Dzienniku Porannym”, dba o zarząd. Póyhönen spadł do zwyczajnego łowcy wiadomości. Zaczął się teraz uczyć łaciny w wolnym czasie, mówi, że to orzeźwiający jak się ma sześćdziesiąt lat. Właśnie tacy Póyhönenowie nadają jeszcze jakiś smak temu życiu. Z takimi to chce się gadać.

Z pastora Hiety zrobili posła, skoro nie tylko moja własna baba głosowała na niego. Co w nim takiego szczególnego? Cho-

cięż ja to już z góry odgadłem ten przypadek Hiety. Droga na posła była mu wytyczona. Nie zwrócił nawet jednej jedynej książki, którą kiedykolwiek wypożyczył, *Latający Holender**.

Książki mają swoje przeznaczenie, tak, tak. Wygląda również na to, że tak samo jest z ludźmi.

Latający Holender to legendarny kapitan statku-widma błędzącego po morzach i oceanach. Wg legendy pewien kapitan, który chciał opłynąć Przylądek Burz podczas cyklonu, zaklął się na piekło, że mu się uda, choćby to miało trwać wieczność; niestety diabeł chwycił go za słowo i skazał na wieczną tułaczkę.

Motyw Latającego Holendra i statku-widma był wielokrotnie poruszany w literaturze i muzyce.

Nie lubię dziennikarzy. Mamy z nimi same kłopoty. Ponadto najczęściej nie znają się w ogóle na piłce nożnej.

Raz reporter zapytał się mnie, jakie mam plany na przyszłość. „Zamierzam rozwijać swoje talenty” - odpowiedziałem. Skrzywił się tylko, chyba był imbecylem. Mój trener powiedział, że ja mam talent i że trzeba go rozwijać. No, ale takie coś oczywiście nie mieściło się w głowie temu reporterowi z dziadowskiej gazety.

Zaczyznałem jako syn zwykłego robotnika. Już w szkole odróżniałem się od moich rówieśników. Nie czułem się z nimi najlepiej, ani też nauka mnie nie interesowała. Cały mój wolny czas, którego miałem dużo, przeznaczałem, na grę w piłkę. Rozwijałem się szybko, ale to wymagało częstych wyrzeczeń. Naukę musiałem zakończyć w piątej klasie, ale jak widzę nie straciłem wiele, bo nauka szkolna jest czymś obcym życiu. Teraz jestem gwiazdą futbolu. Moje imię drukuje się w gazecie częściej, niż imię kogokolwiek innego w tym mieście.

Nie zmarnowałem wcale mojej młodości. Wybrano mnie do drużyny krajowej B. Jedziemy do Oslo w następnym miesiącu. Oslo jest stolicą Norwegii.

Fotoreporter był u nas w domu trzy razy. Razem z drużyną fotografowali mnie już nie wiem jak często, a ostatniej jesieni w stołecznej gazecie było zdjęcie na całe trzy kolumny, na którym wzorowo podaję piłkę Kiliemu Pullinenowi, skrzydłowemu napastnikowi.

Obecnie jestem we wspaniałej formie. Trzeba tylko dbać o to, żeby się za bardzo nie przemęczać. Wielu w moim wieku, mając prawie dwadzieścia dwa lata, tyrało do upadłego. Jest wiele smutnych przykładów.

Po tym jak byłem dwa tygodnie na zgrupowaniu, na wszelki wypadek pozostałem jeszcze kilka dni na wolnym. No, żeby nerwy się ino zdążyły przyzwycząić do tego zwyczajnego otoczenia. Szef biura próbował się wyklócać i dogryzał, że nadawałbym się tylko do magazynu sprzętu. Nie miałem ochoty odpowiadać na nic, tylko zwinąłem się do domu, i zadzwoniłem do przewodniczącego naszego klubu. To jest super gość, załatwił mi też tę pracę. Powiedziałem mu, że dłużej nie wytrzymam. Albo szef biura odejdzie albo ja, jasne? Przewodniczący zadzwonił do firmy i tyle. Szef biura przyszedł mnie przeprosić. Po tym nie chciałem więcej naciskać. Ale to nie jest nic dobrego na nerwy. Coś takiego i to akurat pod koniec ligi. Założę się, że szef nawet nie wiedział nic o meczu ligi krajowej.

Spotykam się z jedną kobietą. Jest ode mnie o cztery lata młodsza. Elegancka maszynka, ale tańczy jak robak. Nie odważyłem się wejść w związek seksualny aż do samego końca, bo to obniża formę fizyczną. Całuję się z przyjemnością. Myślę, że jest to dobre ćwiczenie na oddychanie, chociaż nie spytałem się o to dokładnie trenera.

Nasza mama i tata są strasznie fajnymi ludźmi, chociaż są no tylko zwykłymi robotnikami. Czasami pomagam mamie w rąbaniu drewna, jak nie mam nic szczególnego do roboty. Ojciec też jest pewnie zadowolony, bo nie prosiłem go wiele razy po tym, jak zacząłem dostawać własne pieniądze za wyjazdy na mecze. Trzeba ustosunkować się do rodziny, było co było.

Dyrektor banku Happala przyrzekł mi podróż do Paryża, jeżeli poprę go w wyborach gminnych. A tak w ogóle Paryż jest stolicą Francji. Zobaczę jeszcze, czy się opowiem. Nie spytałem, w którym roku odbędą się te wybory.

Wtedy, gdy zakończę grę w piłkę nożną, będę jadł lody aż do przesytu.

Mieliśmy, jak co tydzień, wieczór gry w wista w klubie. Co innego można by wymyślić dla rozrywki w takim nędznym miasteczku? Poza tym w grze w wista chodzi o inteligencję, a tego znowu nikt nie potrzebuje w takim zapomnianym przez Boga miejscu. No ale niech tak będzie. No bo i po co nawymyślać tu tejszym, jak to i tak ich nie zmieni?

Noo. Najpierw się pograło i w międzyczasie zjadło się trochę kolacji i znowu pograło. Oczywiście w ciągu tego wieczora wypiliśmy parę kieliszków koniaczku, no jakby to inaczej. Wieczór przeciągnął się do późna czy do ranka, jak kogo to bawi powiedzieć. Tak długo się siedziało, że gdy się szło do banku następnego dnia to skronie bolały, a w ustach miało się smak papieru.

Oczywiście poszedłem dokładnie wpół do dziesiątej. Gdy się wymaga w swojej branży dokładności, to trzeba być również dokładnym.

Moim pierwszym klientem był Rausku, dyrektor handlowy. Był jednym z tych, co byli wczoraj w klubie.

—Czy pan dyrektor banku ma czas? Prosiłbym o małą konsultację. - Rausku zapytał tak, żeby aż kobiety słyszały.

—Dyrektor naczelny to dobry człowiek — powiedziałem i otworzyłem drzwi do mojego własnego pokoju.

—Co masz? — zapytałem jak usiedliśmy.

—Whisky. Znalazłem w domu połówkę i myślałem...

—Nie tłumacz. Jesteś posłańcem niebios. Mam wodę sodową gdzieś tutaj.

Przygotowaliśmy małe co nieco, no i sprawa zaczęła się toczyć. Whisky jest najlepsza z wszystkiego, gdy rankiem żołądek jest w złej formie. Noo, noo.

Do drzwi zapukał portier Kekalainen, portier banku. Kuknął do środka.

—Pewien mężczyzna pyta się o pana dyrektora.

—Kekalainen widzi, że mam konsultację.

No Kekalainen widzi, mrugnąłem okiem, żeby wszystko było jeszcze jasne.

Rausku ma niesamowicie dużo spraw do przedyskutowania i potrafi mówić niegłupio. Całkiem dobrze zapowiadający się początek dnia.

—Ten pan chce koniecznie spotkać się z panem dyrektorem banku — Kekalainen znowu dręczył mnie przez szparę w drzwiach.

—Ale gdy ja powiedziałem, że mam teraz konsultację to znaczy, że ja mam konsultację. Niech on idzie do diabła. Albo powiedzcie, aby przyszedł jutro.

—Powie tak, panie dyrektorze.

Nie zdążyliśmy porządnie do połowy następnej sprawy, gdy Kekalainen znowu, nawet nie wiem, który to już raz, stał przy drzwiach.

—Ten gość powiedział, że nie ruszy się, dopóki nie spotka się z dyrektorem banku.

—Teraz to już jasna cholera! — Zrzuciłem marynarkę na siebie, wrzuciłem do ust ziarnka kawy i wyszedłem na stronę banku.

Taki sobie człowiek o małym wzroście podszedł ucisnąć mi dłoń.

— Niech pan teraz uważnie słucha, drogi panie — powiedziałem tak, a potrafię powiedzieć to w dość nieprzyjemny sposób.

— Słuchaj no pan teraz. Nie znam pana, w każdym razie nie jest pan tutejszy, a tutaj ma się taki zwyczaj, że... Przepraszam, kim pan powiedział, że jest?

Tak, właśnie tak. On był inspektorem z centrali, no.

Trochę niecierpliw}' facet, hehe, nie zgodził się zaczekać nawet do popołudnia. Ale tak w ogóle to przyjemny z niego człowiek.

Tak więc siedzę sobie teraz tutaj w ciupie, no.

Trochę w złym czasie zdarzył się ten incydent. Mianowicie miałem się dostać do rady miejskiej. Przyszykowałem już sprawy w sam raz pod wybory. Potem mogliby mi przysłać nawet dziesięciu inspektorów. No, ale co z tego?

Sprawa Rausku tym razem została niedokończona, tak. Ale mało prawdopodobne, żeby on cierpiał z tego powodu. Ma teraz do opowiadania o wiele świeższą sprawę braciom z klubu.

Powiem tylko to, że dokładność nie może być zwyczajem. Jak się w nocy wistowało, to rano mądrzej zostać w domu. W centrali nie rozumieją problemów oddziałów bankowych, nie rozumieją, no i już.

PARTTYLI, KOMINIARZ

Ogarnia mnie strach tam na wysokości, nic na to nie poradzę. We mnie nie znajdzie się więcej odwagi niż gałązek na choince szewca.

Ojciec miał dobry zwyczaj rozmawiać ze mną. Gdy skończyłem szkołę, spytał się.

—No i cóż teraz myślisz robić?

—Będę lotnikiem.

—Oho, aha. Czyli tak *to* sobie wyobrażasz. Chyba jesteś za młody.

—Ale jednak.

—Tak właśnie, jednak. Po co chcesz latać?

—A tobie to nigdy nie chciało się latać?

—Nas nie uczyli jeszcze myśleć o takich rzeczach.

—Nie umiem dokładnie wytłumaczyć, dlaczego pragnę latać.

—Domyślam się, że nie umiesz. A gdybyś umiał, to i tak mało prawdopodobne, żebyś mógł mi to wytłumaczyć. Zobaczmy więc.

Po wojnie zobaczyliśmy. Ojciec znowu się zapytał:

— Nie byłeś tam lotnikiem?

-Nie.

— Dobrze, że nie byłeś. Chyba oni nie chcą wolontariuszy na lotników.

-Nie.

— Dalej chcesz latać?

- Nie chcę.
- Miałbym coś dla ciebie, tak jak zapewne się domyślasz. Odpowiadałoby ci to zamiast latania?

- Odpowiada. Jest odpowiednie.

Ojciec był starszym kominiarzem. Dostałem od niego rejon. I tak to teraz latamy z dachu na dach ze szczotą na plecach.

Z Andersem od Pelleniusa byliśmy w szkole w tej samej klasie. On nosił słomkowy kapelusz i dlatego trzeba było go bronić. Ja wypożyczałem Andersowi w usłudze moją pięść. Cena była taka, że za jeden dzień — precelka. Teraz pucuję jego komin prawie po tej samej cenie. Nic dziwnego, że nie przyznaje się do mnie na ulicy.

Tam, no właśnie tam wyszło dziwnie. Wyobrażałem sobie, że idę tam, gdzie stanę się mężczyzną. Teraz trzęsę się stojąc przy kominie. Tam w każdego mężczyznę miała się wezreć nienawiść. A ja nie potrafię nienawidzić niczego prócz rosołu z makaronem.

Z całego tego rozgardiaszu był jednak taki pożytek, że zostałem kominiarzem. Może doszłoby do tego i bez tak ciężkich doświadczeń.

Raku, mój kumpel z dzieciństwa, jest w ciupie. Wpadł w pi-jaństwo, potem kradł, a teraz siedzi.

- Był na wojnie — powiedziałem.

- No i co z tego, że był. Do ciupy dostałby się i bez wojny — powiedział ojciec.

- Nie dostałby się. Ja go znam.

- Ty przecież nie siedzisz w więzieniu.

To było dziwne, że ja tak nie skończyłem.

Gdy wróciliśmy stamtąd, Raku, ja i reszta zrobiliśmy zabawę w ratuszu. Flagi i wieńce laurowe, a w przerwie ciastka z kawą. Ten ksiądz, który kupił futro Matyldzie, z ambony utwierdzał, że „wasze czyny was zobowiązują”.

Wygląda na to, że zobowiązują. W pośpiechu wygrzebali kilka monet dla tych, których najwidoczniej przycisnęła bieda. Raku zobowiązano do więzienia.

Gdy się kradnie, to się idzie siedzieć w ciupie, to jasne. Lecz ten w czarnej todze nie pytał się, co skłoniło Raku do picia, a co do kradzieży. Było wygodniej się nie pytać. Po co pytać, gdy uraz drugiej osoby jest niewidoczny.

Bohaterami byli ci, którzy umarli. Polegli, jak to się mówi. Tak, oni nimi byli. Mają pomnik i płytki marmurowe oraz zielone rabatki na skraju miasta.

Ci, którzy tam umarli, ale których ocalałe resztki chodzą jeszcze po ziemi, nie mają pomnika ani popiersi.

Moi państwo byli w swojej willi na wsi, a mnie wysłali do miasta robić jesienne porządki.

Wieczorem poszłam do domu gromadzkiego na tańce. Tańczenie jest boskie.

Tam spotkałam jego. Nie był miejscowy. Miał oczy piękniejsze niż Gerard Philipe. I powiedział:

—Panienska jest taka cicha.

—Naprawdę?

—Panienska nie mówi zbyt wiele. Ale za to tańczy bosko.

—Taka już jestem.

—A panienska chodzi jeszcze do szkoły?

—Och, nie, jestem studentką.

—O, przepraszam.

—Nic nie szkodzi.

—Czy panienska zezwoli, żebym ją odprowadził?

—Proszę bardzo, dziękuję.

Przy drzwiach poczułam, że miałby ochotę mnie pocałować.

—Och, nie tutaj — powiedziałam.

—Czy mogę wejść do środka?

—Nie, nie. Mama wprawdzie jest w willi na wsi, a ojciec w podróży, ale nie.

—A tylko na chwilkę?

— Nie. Ale może mógłby pan przyjść jutro, wieczorem.

Nazajutrz poszłam do sprzedawcy warzyw Askali, do hali targowej. Pani zabroniła mi kupować u niego, mówi się, że Askala

zdziera. Z tego prawdopodobnie powodu zawsze kupuję u niego. Askala lubi mnie. Dostałam od niego za darmo naręcze trochę przekwitniętych róż. Wieczorem on przyszedł.

—Strasznie ładnie ma tu panienka — powiedział.

—Oj, wszystko oczywiście jeszcze jak to w lecie. Służąca też jeszcze na wsi.

—I jest tak dużo róż. Czy ktoś przysłał je panience?

—Och nie, ależ nie. Kto by mi przysłał? Ojciec przysłał je matce.

—A to osobliwe.

—Ojciec przysyła zawsze matce róże, kiedy jest w podróży. Są jeszcze w sobie tak zakochani.

—W niektórych przypadkach miłość trwa wiecznie.

-Tak.

—W niektórych przypadkach z kolei nie trwa.

—Nie zawsze trwa.

—Ale moja miłość nigdy nie umrze.

—Tak mężczyźni zawsze mówią.

—Czy to już panience mówiono często?

—Nie, nie mnie.

—A gdybym ja powiedział?

—Och, nie. Pomówmy o czymś innym.

—Przepraszam, nie chciałem urazić.

—Nic nie szkodzi.

—Czy mogę panienkę zobaczyć znowu?

—Nie wiem, niedługo wyjeżdżam na studia.

—Co zamierza panienka studiować, proszę mi opowiedzieć.

—Och, jeszcze nie zdecydowałam.

—Odszukam panienkę w stolicy. Czy mogę?

—Tak proszę. Dziękuję.

No i tak sobie poszedł. Nawet nie pocałował. Błąd w obliczeniach: tacy przecież nie ośmielą się pocałować studentki. A całowanie byłoby takie boskie!...

Podobno widziałem niebieską kozę.

Podobno widziałem niebieską kozę, to było pierwsze i ostatnie kłamstwo w moim życiu. Innych nie było. Ale to też nie było kłamstwo, tylko wygłupianie się, żartowałem tylko. Ale oni tak głośno pobrzękiwali i postukiwali szkłem, a potem wietrzyli salę, że nie zauważyli żartu.

Tam w szpitalu. Tam w szpitalu była dziewczyna, która sprzątała w każdy Boży ranek i była od góry do dołu cała czerwona. Zamiatła, sprzątała i śpiewała. Pucowała okna, szorowała ściany i śpiewała. Miała sukienkę w czerwone kraty, a jej twarz była cała czerwona, i głos też miała czerwony.

Pewnego ranka znowu brała się do roboty.

Nie mogłem nic poradzić, powiedziałem: a ja, to widziałem niebieską kozę. Wszyscy to słyszeli. Reszta nie śmiała się tak jak ja, chociaż powiedziałem, że widziałem niebieską kozę.

Trzymali mnie tam długo, nie liczyłem ile lat.

Gdy nadejdzie wiosna kupię sobie motocykl. Mam trochę oszczędności. Kierownik tego domu opieki jest dobrym człowiekiem, nie kradnie drugim zaoszczędzonych pieniędzy.

To zdarzyło się w roku siedemnastym. Gospodarz domu od strony południa przyszedł i powiedział, że na jego polu trzeba porozrzucić kupki z gnojem. Wiedziałem oczywiście, że one tam były.

Spytał się: „Co na to mój Kaarson powie?” No ale co mi do jego kup z gnojem?

—No to przyjdiesz, Kaarson, rozrzucić te kupki?

—Ile płacisz?

—Dostaniesz jedną markę za kupę.

—A kupek dwadzieścia?

—Dwadzieścia kupek i dwadzieścia marek.

—Dobrze, przyjdę.

Rozrzuciłem obornik na polu gospodarza z południa, dwadzieścia kupek. Jak skończyłem robotę, zaszedłem do jego domu. Normalnie tam nie chodziłem. Jedli. Czekałem. Gospodarz jak zjadł, beknął i poszedł do komórki. Nic nie mówił ani ja też nic nie powiedziałem. Chyba nie ma teraz w domu pieniędzy, pomyślałem sobie.

Zaszedłem po tygodniu ponownie. Powiedziałem, że dwadzieścia kup i dwadzieścia marek.

—Nic ci nie zapłacę - powiedział gospodarz.

—Dlaczego nie zapłacisz?

—A tobie to jeszcze zapłaty się chce? — Gospodarz prawie się rozłościł, ale zaczął się głośno śmiać.

Następnej nocy palił się las gospodarza z południa. Wrzosowisko było suche jak proch, a ogień był zesłany przez Boga. Paliło się porządnie.

Wzięli mnie do więzienia. Gdy ruszyliśmy, kierowca więźniarki powiedział:

— Kaarson, chłopie, jak wyjdiesz z więzienia, to przyjdź do nas na kawę. Pogadamy.

Po trzech latach wyszedłem z więzienia i poszedłem do kierowcy więźniarki na kawę.

— Gospodarz domu na południu przeprowadził się. Ma nową willę — powiedział kierowca.

—A czy ma też nowy las?

-Tak.

—Chodź razem ze mną, kierowco, idę z nim pogadać.

—No pójdę.

—Zapłacisz mi teraz te dwadzieścia marek? - spytałem się gospodarza domu na południu, który miał nową willę. Popatrzył się na kierowcę, a potem na mnie, ale nic nie powiedział.

—Jeżeli nie zapłacisz, to następnej nocy ten twój domek letniskowy pójdzie z dymem.

Poszedł do komody i zapłacił mi dwadzieścia marek.

— Teraz to nawet możesz przejść się po mnie, a ja nie zrobię ci nic złego — powiedziałem. Tak powiedziałem i podałem mu rękę. On nie podał swojej.

Potem była zima, gdy znalazłem w zaspie złoty zegarek. Nie powiedziałem o tym nikomu. Poszedłem tylko i zamieściłem ogłoszenie w gminnej gazecie. „Znaleziono złoty zegarek, zostanie go ten, kto jest jego właścicielem”. Jakiś kupiec przyszedł odebrać zegarek. Powiedział coś dziwnego, gdy go dostał i dał mi sto marek. Ale po tym wysłali mnie szybko do szpitala.

Dobrze tam było, chociaż nic mnie nie bolało. Trzymali tylko tak długo. To było chyba przez tę niebieską kożę. Lekarz pytał zawsze kilka razy w roku: Czy Kaarson widział niebieską kożę? Nic mu nie odpowiadałem.

Ale wtedy już miałem zaoszczędzone pieniądze, żeby sobie kupić motocykl.

Dobry człowiek ten doktor, czyściutki tak jak i ja. Mało jest takich dobrych ludzi.

—Z jakiego powodu Kaarson się nie ożenił? — zapytał się ten doktor.

—A z jakiego powodu doktor się ożenił?

—Ponieważ ja kocham moją żonę.

—A kochałby doktor, gdyby żona doktora nie miała tego czegoś?

Dobry człowiek był ten doktor, bardzo dobry. Nie pytał mnie już później o niebieską kożę.

Dobrze jest tutaj w domu opieki. Można chodzić sobie gdzie się tylko chce, zupełnie swobodnie o ile nie wychodzi się za bramkę. To nic, że kazali mi mieszkać razem z Niskim, a Niski

gra na skrzypcach i robi pod siebie. To nic. Ale gdy kupię motocykl to pojedę prosto do Keitele. Urodziłem się tam.

- Kaarson jeszcze chce do Keitele? - powiedział pastor. —
Wkrótce jednak trzeba będzie stąd wybywać, do nieba mianowicie.

- Czy w niebie jest Keitele? - zapytałem.

- Tak mi się wydaje — powiedział pastor.

Ale ja wiem, że nie ma. Dobrze będzie, jak będzie istniał motocykl.

To tylko powiem, że jeżeli w tym mieście chce się zrobić karierę i żyć długo, to nie wypada być utalentowanym.

Na Boże Narodzenie tradycyjnie pieklam pierniczki. Zamówiono ich po trochę do każdego domu, bo są piękne i dobrze wypieczone i tak dalej. Dlatego zajmuję się cukiernictwem, tak jak i inni ludzie, ale ja przynajmniej jeżeli chodzi o pierniczki.

No tak, dajmy temu spokój.

Najpierw przyszedł ktoś jeden, a potem przyszedł drugi, a potem przyszedł trzeci, i oni wszyscy mówili, że no teraz, Ado Karhunen, to się doigrałaś, zacznij zbierać swoje wałki do ciasta, przyjdzie ci na pewno opuścić ten dom, i to jeszcze przed piętnastym.

Ja nic nie rozumiem, ale tłumaczą.

Co ci przyszło do głowy, piekarkowo, żeby bez żadnego powodu piec te piernikowe figurki, które wyglądają jak młody sędzia, Anders, który, poza tym, nie ma aż tak odstającego nocha jak w twoich pierniczkach? Choć częściowo może i tak jest. Będziesz miała z tego kłopoty. Wiadomo, że pan Anders nie pozwoli piekarzom drwić z siebie. Mówią, że Anders jest we wściekłym szale, gdy ci, którzy mu zazdroszczą, kupują pierniczki tuzinami i śmieją się z niego na spotkaniach.

Powoli zaczynałam rozumieć, że jakiś diabeł musi w tym tkwić, bo mówi się o tym w całym mieście. Na początku miałam zamiar taki, że nie będę się tym przejmować, ale potem so-

bie pomyślałam, jak to pan Anders wielu ludziom stanął kością w gardle, to łyknęłam odwagi i postanowiłam, że ja biedna mogę raz jeden bez powodu prosić o wybaczenie, jeśli tym sposobem dostanę odpuszczenie niepopelnionych grzechów.

Więc zadzwoniłam przez telefon do pana Andersa.

Powiedziałam, że przepraszam, panie sędzio, tu nikt inny jak tylko ja, Ada Karhunen, ta z piekarni. Ja tylko w sprawie tych pierniczków, bo ludzie mówią, właściwie nie wiem co oni mówią, ale ja nic złego nie chciałam. O Boże, o nic mi nie chodziło. To stało się w ten sposób, że te pierniczki były z takiego rzadkiego ciasta, więc co ja mogłam poradzić na to, że tym figurkom nosek w czasie pieczenia wyginał się do góry.

Pan Anders pozwolił sobie powiedzieć, że jestem osobą bez skrupułów i że o tym jeszcze usłyszę.

Ale wtedy ja widziałam księżyc i dziesięć gwiazd i pozwoliłam sobie powiedzieć, że co się tyczy słuchania, to teraz jest kolej na pana Andersa posłuchać. Tak to teraz jest, do diaska, że musi to chyba być coś dziwnego, jeżeli w tym mieście nie można nawet w spokoju piec pierniczków bez tego, żeby jakieś młode advokaciki w melonikach nie skakały mi po blaszce. Jeżeli panu sędziemu podoba się to, że pan sędzia przypomina kształtem te pierniczki, znaczy te z tego rzadkiego ciasta, to pan sędzia powinien zachować tę informację dla siebie, a nie rozsiewać jej na cały świat, na którym i tak w ogóle już dużo się mówi na temat pana sędziego, i o tym by można jeszcze powiedzieć. Noo, co ja, na Boga, na to poradzę, że pan Anders ma krótki nos, znaczy się, że jest taki wrażliwy i na każdym kroku widzi drwinę z siebie? Na co w ogóle mogłaby się odważyć biedna kucharka, skoro kapitalista zaczyna już prześladować nawet pierniczki? Czy mogę zapytać się pana Andersa, co się stanie, gdy teraz pójdę i upiekę plecioną bulkę? Oczywiście ona będzie przypominała kształtem żonę sędziego, czyż nie, panie sędzio? Obecnie sprawy wyglądają tak, że ja mam inne rzeczy do robienia, niż wyginanie ciasta na kształt ludzi z wyższej sfery, proszę mi wierzyć, panie sędzio.

Nie miałam nic innego do powiedzenia panu sędziemu oprócz tego, żeby pan sędzia był łaskaw i pażalusta, niech dba o swoje własne ciastka i nie wpycha nosa do dzieży Ady Karhunen. Tak więc nie mam na ten temat nic więcej do dodania, jak to piszą w gazetach, żegnam. Ja natomiast od tej pory będę obojętna na pana sędziego, choćby widział pan swój obraz nawet w samym krowim placku.

Właśnie tak powiedziałam panu Andersowi. No może jednak nie powiedziałam dokładnie tego wszystkiego, ale teraz wydaje mi się, że tak chyba bym powiedziała.

No, no. Moja mama uczyła mnie, że dzięki rozmowie można rozwiązywać takie sprawy.

RISTO VENTTI, WŁAŚCICIEL SKLEPU Z
ARTYKUŁAMI ŻELAZNYMI

Jakież to anioł objawił mi we śnie, żebym udał się na przedmieście i założył sklep żelazny?

Od mojego sklepu jest pięć kroków do innego i trzy do jeszcze innego. O ile ktoś się nie rozpadnie na kawałki.

A na półkach jest wszystko, tysiąc rodzajów towaru, zwłaszcza tego, o *co* nikt nawet nie pomyśli zapytać. Ale załóż sobie sklep żelazny, wtedy zobaczymy. Spróbuj najpierw zamówić do magazynu druczki.

Znam się na branży metalowej, wiem to i owo, prawie wszystko. Przynajmniej wiem tak dużo, że powinienem był wiedzieć, żeby trzymać się od takiego interesu z daleka.

—O, w czym można pani pomóc?

—Ćwieków, dwieście gramów.

—Proszę, bardzo proszę, droga pani.

—Albo niech pan da tylko sto gramów.

—A więc sto gramów ćwieków. Proszę bardzo, droga pani. Czy jeszcze pani sobie czegoś życzy?

—Oczywiście, że nie. Żegnam.

Ale tego samego ranka mam jednak drugą klientkę.

—Czy ma pan takie nowoczesne zawieszania na firanki?

—Ma pani na myśli karnisz?

—No tak, albo nie wiem, to takie coś, w każdym razie to takie nowoczesne.

—Mamy takie z cienkiej stalowej szyny, których się często używa, i takie kółeczka, i...

—Ale mi chodziło o takie nowoczesne, na pewno kiedyś o tym czytałam w gazecie. Może jutro będzie pan miał takie?

—Obawiam się poważnie, że nie, proszę pani. Tak właśnie, proszę pani.

Mówcie, co chcecie, ale po południu dzwonek dzwoni po raz trzeci.

—Ojej, panie sprzedawco, musiałam przyjść wymienić te świece. Mój mąż powiedział, że mają być śruby.

—Jakie śruby, proszę pani?

—Takie, takie długie.

—Proszę bardzo, droga pani.

—Taak, ale one miały być z mosiądzu. Nie ma pan mosiężnych? Toż to dziwne, no, w takim razie nie. W pana sklepiku w ogóle nic nie ma.

Dzięki Bogu, że stworzył karaluchy. Jeśli kiedyś stanę się bogaty, będę na pewno pierwszym kupcem żelaznym, który dokona tego dzięki DDT.

Codziennie rano, kiedy wstaję, mam tę samą myśl: czy nie pójść i nie zabić deskami całego tego kramu. I że już moja noga więcej nie postanie w tej graciarni. Ale codziennie rano rezygnuję z tej rozpaczy, bo czy mogę odebrać mojej żonie to jedno zdanie, którym tak błyszczy w nabiłowym: „Nasz ojciec właśnie udał się na sklep”.

Stary Huttunen sprzedawał wszystko, od sody kaustycznej po kaszę. Przyszła raz jakaś staruszka na zakupy.

— Można kupić siarki za dziesięć penni?

Kiedyś przynajmniej umieli kłaniać się sprzedawcy.

— Czy sprzedawca nie da więcej za dziesięć penni? W sklepie Puustinena dostaje się więcej siarki za dziesięć penni.

Wspaniały człowiek, ten stary Huttunen:

— Idź babo do diabła, u niego dostaniesz siarki.

Ta historyjka z czasem stała się moją najbardziej ulubioną.

Są trzy święte rzeczy: dom, ojczyzna oraz gazeta „Suomen Sanomat”.

Dom: izba i kuchnia, wdowiec nie potrzebuje więcej. Piwniczka, kuchenka ogrzewana drewnem. Tego ogniska domowego będę bronić aż do ostatniej kropli krwi przed tymi barbarzyńskimi hordami ze wschodu. Jarzmo precz, chociażby za cenę życia. Osiemnaście tysięcy na miesiąc, darmowe światło i ciepło. Odznaka zasługi od Centralnej Izby Handlowej za czterdzieści lat pracy.

Weterani z frontu, bracia broni z roku 1918!* Zebraliśmy się... Nie, nie klaskajcie mi, ja nie robiłem niczego bardziej nadzwy-

* Po ogłoszeniu przez Finlandię niepodległości 6.12.1917 i oderwaniu się formalnie od Rosji, w kraju nadal przebywały rosyjskie oddziały, poza tym na fińskiej scenie politycznej i w społeczeństwie ścierały się dwa obozy: białych — prorządowych, chcących całkowitego uwolnienia spod władzy Rosji (głównie mieszczaństwo, szlachta, inteligencja) i czerwonych - rewolucjonistów (socjaldemokraci, lecz nie bolszewicy; głównie robotnicy i rolnicy - działający pod wpływem trwającej w Rosji Rewolucji Październikowej i dążenia bolszewików do jej rozszerzenia). Doprowadziło to do zaciętej, momentami niezwykle krwawej wojny domowej pomiędzy zbrojnymi oddziałami białych a tzw. Gwardią Czerwoną. Owa bratobójcza wojna trwała od końca stycznia do początku kwietnia 1918 r. i zakończyła się zwycięstwem białych (NB. głównodowodzącym sił białych, desygnowanym przez rząd, był słynny, charyzmatyczny generał porucznik, późniejszy marszałek, Carl Gustaf Mannerheim).

czajnego, niż wy. Jesteśmy małym narodem, małym narodem u brzegów tysięcy jezior*, ale jesteśmy narodem wielkim. Z wieku na wiek nasza flaga z niebieskim krzyżem łopotała dumnie; od zwycięstwa do zwycięstwa ciągnęła się nasza walka! Bracia broni! Nie na darmo oddaliśmy nasze życia, na zawsze prześladowca został przegnany poza granice. Ale znów złowieszcze chmury zbierają się na horyzoncie. Czy jesteście gotowi, towarzysze boju? Ten kraj nigdy nie może upaść, czyż nie? Zaprawdę jak tu stoimy, zaprawdę jak tu siedzimy (znaczy się miałem powiedzieć), całe oblicze naszej ojczyzny... na jej kochaną matczyną twarz nie będziemy patrzeć beczynnie! Nigdy dopóki żyjemy! Żołnierze z frontu, bracia! Niech mi będzie wolno zaproponować potrójny okrzyk wiwatu na cześć ojczyzny! Niechaj żyje, niechaj żyje...

Czytałem gazetę „Suomen Sanomat” przez całe życie. Jej redaktorzy nauczyli się pisać dosłownie tak jak ja myślę, ja i inni obywatele budujący nasze społeczeństwo. Obecnie jestem jej przedstawicielem, wynagrodzenie dwadzieścia procent. Wszyscy w banku zamawiają gazetę, kobiety od razu na kwartał. Tylko panienka Parnanen nie zamawia. Podobno poprosiła też o podwyżkę. Na cóż oni w banku jeszcze ją trzymają?

Wiem, że moim obowiązkiem jest scalanie narodu. Aby wyrównać różnice klasowe zawarłem znajomość z portierem Karpiem. On jest portierem w Domu Związków Zawodowych. Spytałem się o to najpierw dyrektora banku.

—Panie dyrektorze, myśli pan, że zrobię źle, jeżeli wystąpię publicznie w towarzystwie portiera Karpia?

—Ufam panu, panie Kekalainen.

—Podejrzewam, że jest on nadal socjalistą.

—Jest pan Finem, panie Kekalainen. Jestem pewien, że uważa pan siebie za mężczyznę.

* Słowa nawiązujące do tekstu znanej fińskiej pieśni patriotycznej *Tuhanten rantain partahilla*, opartej na wierszu Zachariasa Topeliusa, wielkiego pisarza romantycznego tworzącego po szwedzku.

Szkoda, że dyrektor banku Happala *zdążył* pobyc tylko tak krótko w naszej miejscowości. Takich ludzi nie przetrzymuje się długo w tak małych miejscach. Na nich czekają większe zadania.

Siedzimy czasami w letnie wieczory w parku kościelnym i słuchamy dźwięku trąbki, portier Karp i ja. Nie mówimy o tym, co było, nie chcę go poniżyć. On był jednym z tych, co nie wiedzieli, *co* czynią.

Zanim rozpoczęła się ta cała wrzawa, odbyło się zebranie prześladowanych i stworzono gwardię. Sześciu mężczyzn wybrano do sztabu, a ze mnie zrobiono generała. Oddziały podporządkowano moim rozkazom, ponieważ byłem kiedyś adiutantem w starym wojsku.

Gwardia szkolila się na Rynku Przy Pompie, na którym zebrana gawieź przyglądała się błyszczącym strzelbom. Zawsze pod koniec dokonywałem przeglądu oddziałów, przejeżdżając konno na żrebnej klaczy Pursiainena, zarekwirowanej przymusowo do użytku rewolucyjnego.

I wtedy się zaczęło.

—No więc najpierw chyba trzeba będzie przejąć wodociągi miejskie, elektrownię miejską i centralę telefoniczną— tak powiedziałem sztabowi.

—No ale nie będziemy rozdrabniać naszej małej grupki ludzi po jakichś zakładach czy centralach - powiedział sztab. - Niech sobie te cholerne mieszczuchy sprawują na razie nadzór nad telefonem i prądem, a zabierzemy je im w swoim czasie.

Tak więc fbrtyfikowaliśmy się w Domu Związków Zawodowych. Było nas kilka setek mężczyzn. Przyszłoby więcej, ale nie zmieścili się do środka.

Ja dokonywałem przeglądu wart, które znajdowały się przy bramie, w oknach i w jednym okienku dachowym. Jedzenia było zamówione ile wlezie.

Sztab wylegiwał się w sali kawiarenki, chłwał i rznął w karty.

Oddziały powoli zaczęły się nudzić, bo nie było nic innego do roboty oprócz stania na warcie dla paru mężczyzn. Powiedziałem sztabowi, czy nie trzeba by było wziąć się do roboty.

— Martw się o własne sprawy, tutaj przecież nie ma żadnego wroga — odpowiedział mi sztab i kazał przynieść więcej gorzałki.

No i tak sobie czekaliśmy na przyjście wroga.

Oddziały zaczęły się nudzić jeszcze bardziej niż przedtem. Wprawdzie nie brakowało im jedzenia, ale nie mieli gorzałki. Kusti Rummukainen, który był już starszym mężczyzną, ulatniał się co wieczór do swojej kobieciny na rozrywkę. Gdy udzieliłem mu za to nagany, odpowiedział mi: „Pocałuj mnie gdzieś, generale, trzeba przecież chodzić nakręcać zegar, nieważne jaka by to nie była rewolucja.”

Potem nadszedł wróg i zaczął strzelać. My również strzelaliśmy, ale nikt od tego nie zginął.

Jednej niedzieli przyszła do sztabu baba Korolainena i powiedziała, że w oknie widziała jak wróg ściągał armaty na wzgórze na skraju miasta. Baba Korolainena dobrze widziała, bo w środku dnia rozległ się huk i pierwsza kula spadła na rynek, gdzie nie było nikogo oprócz świni Miettinenena, która odniosła ciężkie obrażenia.

Drugi pocisk trafił w aptekę i wszyscy byli źli na artylerię, zarówno biali jak i czerwoni.

Trzeciego wystrzału nie wykonano, gdyż armata pękła. No ale tego wówczas nie wiedzieliśmy.

W tej sytuacji sztab powiedział, że będziemy się poddawać. „Czy znalazłoby się jeszcze trochę maślanki? Ty generale dokonaj kapitulacji.”

Zamieściliśmy na dachu domu drążek z koszulą Anselmie-go Hakkarainena. Ale wróg niestety nie zrozumiał, że chodziło o białą flagę i strzelił w nią kilka razy. Wtedy podszedłem do bramy i krzyknąłem starym głosem komendowym: „Wstrzymać ogień, teraz odbędzie się kapitulacja”.

Sztab wroga podszedł do bramy. Fryzjer Riipinen, który jakimś cudem wkręcił się do nich powiedział, że tego Karpia to teraz zastrzelimy. Ale kapitan Pruun, który był ich dowódcą, powiedział, że Karpia nie zastrzelimy, Karp to dobry chłop.

W swoim czasie wyszedłem z obozu jenieckiego. A co tam o tym, pamięć też się pogorszyła. Ona jest litościwa. Jak widać żołądek mi wytrzymał, nie jadłem wodorostów morskich.

Nie było to nic nadzwyczajnego.

Kekalainen, ten portier z banku, był po drugiej stronie. Podobno zdobył Tampere, jak przejeżdżał obok miasta. No, chyba za darmo nie dostał tych pasków na klapę marynarki. Ale on i tak dalej nie potrafi załadować strzelby.

Mieszkam w starej fortyfikacji, ponieważ jestem teraz portierem w tym Domu Związków Zawodowych. Kekalainen jest portierem w banku, a bank też był wtedy fortyfikacją. Żaden z nas nie ma pod sobą nikogo, aby wydawać rozkazy, ale to nieważne.

Siedzimy sobie czasami letnimi wieczorami w parku kościelnym i słuchamy dźwięku trąbki, Kekalainen i ja, starzy żołnierze. Do tego co było już nie wracamy, już o tym mówiono tyle razy. Ja jednak siadam zawsze po prawej stronie, bo byłem przecież generałem.

Los był dla mnie łaskawy. Pozwolił mi dożyć takiego wieku, w którym już nie muszę nosić munduru. Przeszłości nie można jednak wyrzucić ot tak, do śmierci będą mnie nazywać pułkownikiem.

Oficerskie wspomnienia powinny być odprężające, ale nic nie mogę poradzić na to, że gdy myślę o nich, wydaje mi się, jakbym przeglądał kiepsko redagowaną, nieukazującą się już gazetę satyryczną. Oczywiście, kiedyś wjechałem konno do oficerskiego kasyna w środku potańcówki i pocałowałem żonę komendanta na jesiennym balu maskowym. No jakby to inaczej. Wszyscy, choćby trochę utalentowani porucznicy tak robili. Ale ileż najlepszych lat poświęciłem na zapoznanie się z bilardowym kijem, z jedyną ówczesną oficerską bronią. Ta myśl mogłaby mnie denerwować, gdybym był pewien, że nadawałbym się do czegoś lepszego.

Wojna, wojny — taaak. Chętnie o nich czytam, najchętniej dzieła tych, którzy nie byli na wojnie. Im często udaje się stworzyć dramatyzm wydarzeń. Osobiście uważam, że wojna dobrze przysłużyła się mojemu zdrowiu, piłem wtedy mniej. Pomimo tego nie mogę się zgodzić z opinią tych, którzy twierdzą, że wojny hartują naród.

Kiedy odchodziłem z wojska, regiment podarował mi zestaw wyposażenia schronu. Leży to teraz u mnie na strychu w domu. Mam nadzieję, że duchom przyjemnie jest siedzieć na tych udekorowanych lampkami krzesłach.

Mój wnuk, dziarski zadatek na chłopca, mówi, że zamierza zostać żołnierzem. Żeby nie stracić jego przywiązania, muszę uważać, żeby mu nie popsuł jego planów. Może za parę lat, kiedy chłopak dorośnie trochę, powiem mu słówko. Słódko, które złożę na karb starczego zbzikowania. Pułkownik mówiący o pokoju, to oczywiście śmieszny dziwak, sam śmiałyby się z niego jako pierwszy. Tak śmieszny jak pastor, któryby ostrzegał przed królestwem niebieskim.

Tak, szczęście mi sprzyjało. Teraz mam dwa urocze hobby: młodą żonę i orchidee. Te ostatnie próbuję hodować, tego wymienionego jako pierwsze — nie. Ale obydwie dostarczają czasem czarujących niespodzianek.

Niektórzy widzą coś zabawnego w tym, że stary mężczyzna ma młodą żonę. No, w każdym razie gdyby stary mężczyzna, oprócz wszystkiego, miał jeszcze starą żonę, to byłoby gorzej niż żałośnie, czy jak tam się mówi. Moja żona jest oczywiście dopiero druga w kolejności i doskonale pasuje do moich innych kolekcji. Poza tym, to już jest tradycja, że stary pułkownik ma młodą żonę. Co innego odziedzyczyliby młodzi porucznicy?

Co do orchidei, to mam jeszcze mało doświadczenia. W każdym razie odczuwam jakieś głębokie zadowolenie, kiedy myślę, że jest ich na świecie kilkadziesiąt tysięcy różnych rodzajów. A zajmowanie się jednym jedynym gatunkiem wymagało ode mnie niezwyklej troski i cierpliwości. Orchidee są tak kapryśne, tak nieprzewidywalne, mają zapach zdeprawowanej elity. Filozofia — to nie dla mnie, ja czytam książki o orchideach.

Pewien gatunek z rodziny *Ophrys* ma piękny brązowy kwiat z cętkami fioletowo-czerwonymi, który z kształtu przypomina pewnego pasożyta, samice. Ponadto ten kwiat pachnie ponętnie. Trutnie siadają na kwiatach, żeby spędzić z nimi rozkoszną chwilę. Nie wiadomo, co myśli orchidea, ale trutniom chyba jednak potem jest głupio.

Takie jest życie, młodzi porucznicy.

Pytacie mnie bez przerwy: dlaczego wyszła pani za mąż za takiego starego mężczyznę, czy chodziło o akt rozpacz, czy naprawdę kocha pani męża?

Dziwne jak pasjonujecie się miłością.

Nie wyglądam na skromną. Wiem, że prócz pułkownika Bru-una podobałabym się wielu innym. Rzućmy okiem na listę:

Mamy tu młodego i silnego rzeźnika Eerika, który od kwietnia opala się na skałach i ćwiczy swoje mięśnie według kursu korespondencyjnego, żeby zachować reputację plażowego Tarzana. Na pewno dokonuje cudów, kiedy dostanie się pod pierzynę. Ale czy zauważyliście, że on patrzy ponad waszą głowę podając paczuszkę?

A młody poeta Otso, któremu zakochane kobiece serca nadały obraźliwy przydomek Bonzo. Przyznaję, że wyszłabym za niego za mąż i przyznaję też to, że bardzo możliwe, że mogłabym się zakochać w jego żółtych lokach, gdybym użyła trochę swojej wyobraźni. Ale jeśli się weźmie pod uwagę to, że on jeszcze nie ma trzydziestki, co w takim razie zagwarantowałoby mi, że nie zostałabym zmuszona do życia z nim przez następne pięćdziesiąt lat? Pięćdziesiąt lat, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w każdym roku, a żadnego dnia nie można by było zapomnieć, że napisał raz taką strofę: „moje pragnienie jest pragnieniem wielbłąda, a ty jesteś studnią na pustkowiu mego życia”.

Magister medycyny Pekkala jest czarującym mężczyzną, kiedy w jego otoczeniu jest dużo ludzi. Ale zastanówcie się: towa-



I^H

moje orchidee.

rzysząc mi raz ze związkowego balu noworocznego spoważniał. Mówiąc poważnym tonem planował swoją przyszłość bez cienia wątpliwości co do tego, że wybór jego przyszłej małżonki nie oznaczałby dla niej społecznego awansu. Magistrzy też oczywiście zmieniają się z biegiem czasu, ale ryzyko byłoby jednak ryzykiem.

Jest ich trochę - przystojni głupcy, brzydkie nieśmiałki, wszyscy pretensjonalni.

Nie — wiercie lub nie — ja poślubiłam w młodym wieku bezpieczeństwo, miejsce, gdzie się mnie traktuje ze względami, krótko mówiąc: ogień w kominku. Kiedy jeszcze dostałam jako bonus mężczyznę, którego wady wiek wygładził prawie do zniknu, jestem zadowolona.

W tej chwili nie muszę bać się niczego prócz tego, że mój kochany żołnierz swoimi zapalczywych zabiegami zamęczy wszystkie

$H^{\wedge}H^{\wedge}n$

PANNA SIREN

To był bardzo śliczny mały domek na tamtym wzgórzu. Mój ojciec kupił go w roku dziewięćdziesiątym trzecim i od tego czasu tam mieszkałam.

Pewnego dnia, było to w niedzielę przed świętem Maryi, pan Anders wchodzi przez drzwi kuchenne.

- O na wielkie nieba, panie Anders, jak to pan teraz przez kuchnię?

- Pewnie przeszkadzam pani, toż to niedziela.

- Ależ nie, panie Anders. To radosna niespodzianka. Wszystkie moje dni są obecnie niedzielami. Proszę dalej do środka, panie Anders. Czy mogę mówić „panie Anders”, czy trzeba „sędzio”?...

- Niech pani mówi tylko Anders, tak jak przedtem.

- A pan Anders niech mówi tylko „cioteczko”, tak jak dawniej.

Pyta się, czy mógłby usiąść w kuchni, tak jak dawniej.

-Już minęło wiele czasu, cioteczko, odkąd ostatnio...

- Och nie, mnie się wydaje jakby Anders ostatnio wczoraj siedział na tym krześle.

- A jednak to już wiele, wiele lat.

- Tak, musi tyle być. Z Andersa zrobił się wspaniały mężczyzna.

I sędzia.

- Pewnie tutaj byłem często uciążliwy dla cioteczki.

- Co też Anders teraz wygaduje? Anders był takim bardzo grzecznym chłopcem, przychodził czasem porozmawiać ze starą kobietą.

—Tak, siadałem czasem na pogaduszki z cioteczka, a inni chłopcy ogołacali sobie w tym czasie cioteczki jabłonie do własnych kieszeni. Miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, cio-teczko.

—Oj, oj, kochany Andersie, ja przecież wiedziałam o wszystkim, o tych waszych kombinacjach. Jakimi też wspaniałymi łobuziakami byliście!

—Ale jednak, byłem wtedy taki bezrozumny

—Anders nie potrzebuje już tego sobie przypominać. Nie przyszedł przecież Anders teraz w tych samych zamiarach.

—Tego by jeszcze brakowało! Cha, cha, cha!

—Też prawda. Cha, cha, cha!

—Cioteczka miewa się dobrze?

—Dziękuję, tak jak staruszka miewać się może. A Anders?

—Dziękuję, bardzo dobrze. Przychodzą do cioteczki goście?

—Rzadko, Anders.

—A nie wydaje się czasem przygnębiające mieszkać w takim samotnym domu?

—Nie wydaje, Anders.

—Niesamowite.

—To jest niesamowite.

—Powiem prosto z mostu, cioteczko. Proszę mi sprzedać swój dom.

—Co Anders mówi?

—Proszę mi sprzedać swój dom, cioteczko.

—Andersowi? Po co Andersowi mój dom?

—Powiem wprost, zbudowałbym na miejscu tego duży dom.

—Aha, czyli duży dom.

—Tak, nie gniewa się cioteczka?

—Absolutnie nie, Anders.

—Sprzeda mi cioteczka dom?

—Przemyślę sprawę, Anders.

—Ale nie powie cioteczka o tym nikomu?

- Nie powiem.
- Nikomu.
- Anders może być spokojny. Ja tylko pomyślę.

Prawdę mówiąc, niewiele myślałam. Sprzedałam Andersowi dom, za milion. To był tak dziecinny interes, że jeszcze chce mi się śmiać. Nikomu nie powiedziałam, sprzedałam w zupełnej tajemnicy Andersowi dom za milion.

Panna Siren nie zostawia po sobie nikogo. Milion czy dwa miliony to dla niej to samo, ta sama uciążliwa sprawa: obie sumy to zbyt dużo.

Na mnie czeka spokój.

Tutaj zostaje to życie i świat. Wielki i piękny świat.

Będzie mi go trochę brakowało. I oj, oj, i oczywiście też was, małych szabrowników jabłek.

JOHANNES HURME, FOTOGRAF

Jutro więc zrobię TO ZDJĘCIE. Trzeba zrobić wielokrotne powiększenia, z tym nie należy się niepotrzebnie spieszyć. Jutro będę już zapewne w lepszej formie. Nikomu o tym nie mówię, działam po cichu. Na pocztce chyba się dziwią, że ktoś z tego miasteczka wysłał list do gazety *Ufe* do Ameryki; nikt jednak nie ma prawa otwierać listu, chociażby byli nie wiem jak ciekawi.

Chyba wezmę czerwone wino. To piwo wygląda trochę na zbyt młode. Czuć go zupełnie żywicą.

—List z Ameryki dla fotografa Hurmę.

—Kto to do mnie z Ameryki, przecież ja tam nie mam nikogo?

—Wygląda na to, że z magazynu *Ufe*. Tak, panie fotografie Hurmę, wygląda na to, że zwrócili na pana uwagę.

—Czego oni ode mnie chcą?

—Proszę nic nie mówić. Jest pan wybitnie utalentowany, panie Hurmę. Pan jest geniuszem w dziedzinie fotografii. Gratuluję.

Tak mówi listonosz.

„Załączamy do listu wynagrodzenie za Pańskie zdjęcie w wysokości stu dolarów. Mamy nadzieję, że to usatysfakcjonuje Pana. Bylibyśmy wdzięczni, jeżeli zgodziłby się Pan poważnie rozważyć naszą ofertę. Na początku więc na terenie Europy, jeżeli nie miałby pan nic przeciwko temu, na przykład w Paryżu... oczywiście może Pan sam określić swoje warunki... z poważaniem... ”

-Jest pan najwytworniejszym fotografem w Paryżu, mon-sieur Hurmę.

—Ach, madame, przesadza pani.

—Proszę nie zaprzeczać, monsieur. Czy zgodziłby się pan zrobić mi zdjęcie artystyczne? Może odpowiadałoby panu w domu?

—Oczywiście, madame. Jest pani najwspanialszą gwiazdą Fo-lies-Bergere*. My wszyscy ubóstwiamy panią, ja ubóstwiam.

—Och wy obcokrajowcy, wy tak pięknie mówicie. Monsieur, proszę zrobić mi bardzo piękne zdjęcie. Pan nie potrzebuje tej ulicy. Czy wierzy mi pan?

—Och, madame. Merci. Pardon.

Zrzuca swój jedwabny peniuar. Na nogach ma długie czarne pończochy i buty na wysokich obcasach. Nic poza tym.

—Monsieur Hurmę, był pan kochany. Ta sesja zdjęciowa tak mnie tylko zmęczyła.

—Pardon, madame.

—Nic nie szkodzi. Chyba pójdę do łóżka. Czy za chwilę przyniósłby mi pan mój peniuar do pokoju sypialnego. Czy pan przyniesie, monsieur?

Najstarszy rangą portier w hotelu na Piątej Avenue:

— Excuse me, czy może Mr. Hurmę?

-Tak.

—Proszę o wybaczenie, pańskie nazwisko jest mi znane, ale...

—Proszę się nie przejmować, rozumiem. Dopiero wczoraj przyleciałem tu z Europy. Czy moja żona przybyła już z Los Angeles?

—Mrs. Hurmę? Tak. Jest w państwa apartamencie na pięćdziesiątym czwartym piętrze. Minister Spraw Zagranicznych prosił, aby pan skontaktował się z nim telefonicznie.

* Theatre des Folies-Bergere, znany music-hall na ulicy Richer w Paryżu. Stał się słynny dzięki zespołom dziewcząt tańczących półnago w kolorowych strojach ze strusimi piórami, ale też dzięki występom gwiazd takich jak Jo-sephine Baker, Maurice Chevalier czy Edith Piaf.

—Helou Jim.

—Helou Janne. Przybyłeś z drugiej strony tej kałuży. No jak ci tam było?

—Znasz przecież Paryż. Czy dzwoniłeś do mnie?

—Tak, widzisz. Potrzebowałbym okazałego zdjęcia mojej sylwetki. Fotografia ma pójść do okolicznościowej publikacji ONZ. Chyba rozumiesz. Miałbyś czas wdepnąć tu do Waszyngtonu?

—Okej, Jim. Możesz na mnie polegać. Zamów whisky.

— Wyśmienicie. Wy Finowie jesteście all right. Jaka whisky? Wiesz przecież, że moje piwnice są zawsze do twojej dyspozycji. So long.

Piwo jest po sześćdziesiąt sześć, a wino po siedemdziesiąt. Nie ma się jeszcze czym przejmować.

Muszę poprosić, żeby Valma wyprasowała mi jutro spodnie.

Ludzie mówią mi, że mam zamysłone oczy, i że często zatrzymuję się i patrzę się przed siebie, niczego jednak nie widząc. Gdzie są twoje myśli? — pytają się i śmieją. A ja śmieję się z nimi, ale to taki gorzki śmiech. Cha, cha, śmieję się Valma, chociaż ból zżera twoje serce.

Mam za męża mężczyznę, którego można podnieść jedną ręką.

Byłam ślepo zakochana. On robił mi zdjęcia w sukience z kre-tonu na tle pnia brzozy i mówił, że to wygląda jak obraz. Robił zdjęcia mojego profilu w świetle migoczącej świecy, to było studium. Robił mi zdjęcia — jeszcze policzki mi się rumieniły — nago na skałach nad brzegiem jeziora; oczywiście od tyłu. Nazwał tę sesję *Jutrzenką*.

Właśnie tak może to wszystko się potoczyć. Młoda dziewczyna zakochuje się w pudełku fotograficznym i taki żaloszny pstry-kacz będzie jej jak krzyż przez całe życie.

Ciągnę wózek jeden za drugim z pustymi butelkami po winie do sklepu, żeby dostać za nie pieniądze. Nie wchodzę przez drzwi główne, idę od strony podwórza; ale i tak ktoś mnie widzi. To jest poniżające. Ale przynajmniej nie trzeba błagać na kredyt kielbasy i chleba na ten jeden dzień.

A potem, kiedy przychodzę do domu, to Boże drogi! — w drzwiach, oparty o framugę stoi mężczyzna, uśmiechnięty się jak stara walonka i pyta się: „Czy ty mnie jeszcze kochasz?”

Uchowaj Panie Boże! Takiego mężczyznę chudego jak drzwi od wychodka... och. Siedzę, płaczę i śmieję się — ojoj. No ale swojego chłopca trzeba mieć.

Próbowałam już wszystkiego. Raz trzasnęłam go stojakiem do kamery. Biedak skulił się i zemdłał. Z sercem w gardle biegłam do sąsiadów po pomoc. Nie było ich w domu, to pobiegłam do drugich. Ryczałam i biegłam. Bałam się, że go zabiłam. Gdy dotarliśmy z powrotem, facet zniknął. Pudełko z szuflady było otwarte. Wiedziałam: męczennik siedzi sobie z guzem na czole w najbliższej knajpie.

On nie jest złym mężczyzną, wręcz przeciwnie. Czasami wpada w twórczy zapał i chodzi przez cały dzień w negliżu wzdłuż izby, wywija rękami i przedstawia dowody na to, jakim to on jest fotografem.

—Tak, jesteś — mówię mu — tylko cię nie rozumieją.

—Tak, właśnie, nie rozumieją mnie.

—Ty masz smykałkę do portretów. Nie znam nikogo innego, kto miałby takie oko jak ty.

—Święta prawda, mam oko, ale fotografika jako sztuka jest w tym kraju tak młoda.

—Nie przejmuj się. Zagryziesz zęby i zaczniesz, i zobaczysz. Z tego będą też pieniądze.

—Dziękuję ci, Valma, dziękuję. Zagryzę tylko zęby, tak zrobię, może już jutro.

Potem:

—Valma słuchaj, gdybym nie miał ciebie, to bym się powiesił.

—Nie gadaj głupot, nie powiesiłbyś się.

—Na bank, żebym się powiesił. Ty jesteś dla mnie wszystkim.

—Tylko tak mówisz.

—Ale ja mówię z głębi mojego serca, wierzysz mi?

—No wierzę ci.

—A tak w ogóle, to miałabyś może stówkę? Potrzebowałbym trochę wywołacza.

W ten sposób zawsze mamy coś do wywoływania, a zęby będziemy zagryzać jutro.

Nie skarżę się.

Nie skarżę się, ale powiem młodym dziewczynom to: jeżeli ktoś wmawia wam, że wasz goły tyłek to Jutrzenka, wywalcie go od razu!

Dzięki niech będą Najwyższemu, że zabrał do siebie moją żonę, gdy byłem jeszcze poważnym pijakiem, a nie takim wesołym, trzeźwym wrakiem. Peppi - nazwałem moją żonę Peppi — przywiązała się do mnie całą siłą swojej promiennej duszyczki. Patrzyła na moje śmierzące poniżenie z pobłażaniem i wierzyła, że kiedyś ta moja powaga przyniesie mi jeszcze olśnienie i chwałę.

No ale ta powaga była skacowaną powagą. Nie wyciągałem moich trzęsących się dłoni ku niebu. Zatrzymałem je na kołatających skroniach, aby je trochę pomasować.

Przekonano mnie, abym poszedł do pewnego klubu, który miał być jakimś stowarzyszeniem tych, co przebudzili się z pijaństwa. Najwięcej był tam przy głosie fryzjer Riipinen, który swoim przenikliwym głosem zmuszał do zwracania uwagi na swoje wcześniejsze nędzne życie i jeszcze więcej na swoje nawrócenie z poprzedniego tygodnia. Gdy zwałem stamtąd, pomyślałem sobie, że przecież można popróbować tej trzeźwości, ale trzeba pewnie dobrze się pilnować, żeby ta trzeźwość nie uderzyła do głowy.

Po tym jak wygrałem ze sobą stałem się szczęśliwy i siwy.

Niekiedy siedzę jeszcze z chłopakami w żwirowni, z dołu której widać tylko piasek i błękitne niebo. Mogę zasiadać między nimi, chociaż porzuciłem ich zmartwienia i, mówiąc wprost, jestem odstępca.

A kiedy znowu tracą rozum i są cierpliwi, wtedy recytuję im mój wiersz, a on im się podoba. Ten wiersz jest cudowny, ale nie jest dla wszystkich. Nie jest on nigdzie spisany i dlatego jest prawdziwy.

Ksiądz w habicie chodzi i zbiera nas jak grzyby. Nam udało się jednak schować przed nim tutaj w gęstych pokrzywach, gdzie mały chrząszcz z podniesionymi różkami warczy nam tajemną wieść: spiesz się cieszyć, wkrótce umrzesz.

Wolę i zmartwienie dano człowiekowi, żeby choć raz z nich się zaśmiał.

Bruzdy na moich policzkach są pełne śladów mojej głupoty, i wstydzę się strasznie tej beznadziejnej dumy, która wypychała mi pierś, gdy ci z wyższych sfer klaskali po moim *C^ardas^u* Montiego*.

Tutaj jest dobrze, jak uświadamiasz sobie swoje iluzje, jedna za drugą. Chwała niech będzie losowi, który pozwolił przewrócić szafkę z nutami i dostać wydalenie z ostatniej pracy.

I gdy dobijam się do drzwi pana Andersa z myślą o małej pożyczce, wiem, że jestem jego pracodawcą.

Sprzedalem skrzypce, to była wola Boża, bo położył On już stopy na pedałach wielkich organów i musiałem w końcu słuchać obydwoma uszami. Niech będzie błogosławiony sklepikarz towarów różnych Hakkarainen i jego obłudna żona, którzy wyłudźlili ode mnie te skrzypce.

Liść z drzewa wędnie jeden po drugim. Spytajcie się więc Najwyższego, czy to nie Jego wola, że my cieszymy się z tego? Po coś innego pozwolilby naszym oczom patrzeć na tak wiele śmierci?

A ty, Peppi, ty jesteś tam na wielkich salach. Ubierz się w biel, wkrótce stąd dojdę do ciebie. I dziw byłby, Peppi, gdyby twoją

* Vittorio Monti (1868—1922) - włoski kompozytor; jego jedynym najbardziej znanym dziełem jest *Csardas*, niezwykle żywiołowy utwór pierwotnie skomponowany na skrzypce, inspirowany węgierskim tańcem ludowym.

nieskazitelną twarz nie rozjaśnił uśmiech, gdy zobaczysz moje
połatane kolana i usłyszysz mnie już ze schodów wołającego:
„Serwus!”.

Idźcie na targ i spróbujcie, drodzy państwo. Nikt nie zabrania próbować.

Spróbujcie sprzedać gospodarzom w trzydziestostopniowym mrozie wodę do włosów. Spróbujcie sprzedać gospodyni lusterko, kiedy wygląda jak diabeł malowany na ścianie stodoły. Spróbujcie i zobaczycie, że życie handlowca nie jest usłane płatkami róż.

Ale ja mam szczęście i zawsze je miałem.

W prawdziwie wielkim stylu zacząłem jako właściciel kurnika. Kupiłem kurnik, stary wielki kurnik. Nie było w nim ani jednej kury. — Co zrobisz z kurnikiem, w którym nie ma kur? — pytali się. — Zrobię co zrobię.

Kazałem zrobić torebki papierowe, czerwone i niebieskie. Do niebieskich wkładano po prostu obornik kurzy, a do czerwonych to samo, tylko że ładnie zmielony. Na czerwonych torebkach było napisane „Andaluzyjski proszek pod kwiaty Izabella”, a na niebieskich „Wschodnia odżywka dla roślin Lannox”.

Lannox sprzedał się w przeciągu pół roku, a Izabella troszkę później, ponieważ była droższa. Jednak po niedługim czasie panie wykupiły również Izabellę. Mieszały ją z wodą i spryskiwały liście róż.

I tak oto ptaszyny Boże pomogły mi podnieść się na nogi, a ja na nich się utrzymałem. Szczęście podążało za mną.

W tamtych czasach ożeniłem się po raz pierwszy. Ona była beznadziejna. Umarła po kilku latach bycia żoną handlarza. Ku-

piłem grób, kazałem zrobić nagrobek, ale wszystko tylko na jedną osobę. Nigdy przecież nie wiadomo, ile żon będzie się posiadać. Trzeba wykazywać się wrażliwością.

Na wiele sposobów zdobyłem sobie zasługi w życiu gospodarczym. W pewnym czasie miałem fabrykę lemoniady. Moja uczciwość groziła ruiną. Nie miałem doświadczenia w branży i do butelek naprawdę nalewano lemoniadę. Plajta zbliżała się. No ale wtedy wybuchł strasznie wielki pożar i wszystko się spaliło. Gdy jest się w czepku urodzonym, to tak to właśnie jest.

Z moją drugą żoną zdążyłem być żonaty prawie dwadzieścia lat. Parę dzieciaków też spłodziła, poza tym była czystą podłością. Gdy ostatecznie zacząłem się nią nudzić, ona zaczęła pić. Pomyślcie sobie, jakie szczęście trzeba mieć. Adwokat sporządził papiery rozwodowe. Życie jest tylko jakby snem — powiada poeta.

Żona fotografa ma okazały biust.

—Niech pani wyjdzie za mnie za mąż - powiedziałem żonie fotografa.

—Nie mogę — powiedziała — jestem mężatką.

—Niech weźmie pani rozwód. Ja nie piję i mam pieniądze. Jestem porządnym mężczyzną.

-Nie.

—Niech będzie pani więc moją kochanką.

-Nie.

—Wszakże może pani czasami zajrzeć do mnie.

-Nie.

—Nie, nie. Dlaczego nie?

—Bo nie chcę.

Dziwna kobieta, głupia. Właściwie to szczęście, że się nie zgodziła. Podobno miała wole, słyszałem o tym później. Nie wiadomo jak kosztowna byłaby kobieta z wolem.

Zachorowałem na odrę. To była moja pierwsza choroba w życiu. Zaprosiłem pastora Raitę. Chciałem wydobyć z niego co nieco na temat spraw wiekuistych. Miałem zamiar porozmawiać też o kilku małych grzechach.

Pastor miał zmartwienia sam ze sobą. Poprosił o pożyczkę. Dużo? Niedużo. Pożyczyłem mu pieniądze i jest mi teraz dłużny. Znów miałem szczęście, skoro nie zdążyłem wspomnieć o tych grzechach. Wyciągnąłby na pewno więcej. A tak teraz wyszliśmy z tego na swoje.

Nie może nic złego się zdarzyć człowiekowi, któremu dłużny jest ksiądz, czyż nie?

Wyruszam niedługo z tego miasta. Nie czuję się tu dobrze. Nic mnie tutaj nie trzyma. Wszystko zamieniłem na pieniądze. Tęsknię za treścią mojego życia, tęsknię za przyjaźnią, prawdopodobnie wyjadę do Ameryki.

Ale byłby to dziw, gdyby w Ameryce nie znalazło się nic dla mnie. Ja zawsze miałem szczęście.

Życie jest cudowne. Jest ono cudowne w tym miasteczku, chociaż można by pomyśleć, że w tym miasteczku w ogóle nie ma życia.

Oo, owszem ja wiem, jak jest też gdzie indziej. Nie siedziało się tylko w tych kątach. Szczerze mówiąc, występowałam prawie we wszystkich miastach kraju. A ponadto w pięciu mniejszych miasteczkach. Nie mówiąc o wsiach. Tak, robiło się karierę.

Przewinęłam się naprawdę przez prawie wszystkie teatry miejskie. Z dwóch musiałam odejść, kiedy wpakowałam się w nich w zamążpójście. Małżeństwa między aktorami to nic dobrego. Jedno pije, a drugie jest niewierne. A jeśli akurat nie tak, to na odwrót. Jaka z tego idylla?

Jednakże, ach — to serce, jeśli już komuś było oddane, kochało dając wszystko, gorąco i na wyłączność, około czterdziestu mężczyzn.

Przybywając do teatru w tym miasteczku, byłam u szczytu sławy. W tej sławie nie było jednak żadnej kpiny. Po spektaklach panowie przesyłali mi bombonierki, kwiaty i różne dziwne propozycje. Miasteczko było dosłownie u mych pięknokształtnych stóp.

Potem w programie znalazło się *Słowo Kaja Munka**, tak właśnie. Cudowne przedstawienie, wspaniałe. Bezgranicznie uwiel-

* Dramat ten (tyt. oryg. *Ordet*, 1932) należy do najważniejszych dzieł duńskiego pisarza Kaja Munka (1898—1944), który kontempluje tu misterium zmartwychwstania, i jest wyrazem jego głębokiej wiary.

biam takie podniosłe, twórcze sztuki, w których artysta może się wypowiedzieć. W nich też sam subtelnieje, a jednocześnie może unieść publiczność gdzieś wyżej.

W ostatnim akcie, tuż przed końcem atmosfera się zagęszcza. Staje się prawie namacalna, jak pisano w recenzji. Wizja poety jest prorocza, wszystko zdąża ku kulminacji w scenie zmartwychwstania.

Na środku sceny znajduje się otwarta trumna. Leży w niej martwa kobieta (ja). Jan, święty (Viki Kettunen) zwraca przezroczystą, niebiańską twarz ku górze, ku niebu, błagając je o moc.

Potem w głębokiej ciszy wskazuje na trumnę: „Ja mówię tobie, Anno, wstań!”.

Ale Anna nie wstaje.

Jan zwraca ponownie swą niebiańską twarz ku górze i błaga już trochę zdenerwowany o więcej mocy.

„Ja mówię tobie, Anno, wstań!”

Nie wstałam. Spałam.

Spałam jak zabita. Poprzedniej nocy zasiedziałam się w wesołym towarzystwie, więc chciało mi się spać.

Zanieśli mnie w trumnie za kulisy i walnęli butem w głowę. Po takim czymś można się obudzić. Wszyscy byli tak źli, że syczeli. „Mogliście pomyśleć o bucie na scenie, to byście nie musieli się teraz wkurzać”, powiedziałam.

Jakoś z tej sytuacji wyszliśmy. Ktoś pobiegł na scenę zakomunikować, że cud Jana się udał, chociaż był trochę opóźniony, i że Anna obudziła się ze śmierci za kulisami, i ma się zupełnie dobrze zważywszy na okoliczności. W ten sposób mogli dokończyć przedstawienie.

Dostałam upomnienie. Takie rzeczy są częścią życia teatralnego. Tym, którzy mają temperament, daje się dla równowagi upomnienie. Upomnienia zresztą trzeba brać na poważnie, bo tutaj w grę wchodzi kwestia pracy z powołaniem.

Była znowu jakaś premiera, nie pamiętam czego, tych premier było tak strasznie dużo.

Oczywiście, byłam zdenerwowana, ale miałam swoje własne sposoby na treść.

Przed występem biegłam tam i z powrotem po teatralnych korytarzach. Chyba szłam do kuchni po jeszcze więcej wody sodowej. Ze zdenerwowania pomyliłam drzwi. Weszłam nagle prościutko do biura zarządu.

Prezes zarządu wstał uroczyście i powiedział, że właśnie świetnie się składa. Mamy sprawę do pani Sievanen.

A ta sprawa miała znaczyć, phi, zwolnienie.

W protokole z zebrania jest punkt, w którym jest napisane, że pół godziny przed tym a tym premierowym przedstawieniem aktorka Patty Sievanen wbiegła na zebranie zarządu, ubrana jedynie w wełniane spodnie koloru marchewkowego, i od której silnie było czuć poncz. *Jedynie* podkreślono. Z tego powodu zarząd spojrział poważnie na odnoszące się do niej wcześniejsze upomnienie, i tak dalej.

A niech im tam. Chociaż w protokole były dość rażące przekłamania. Nie mam nic przeciwko temu, do cholery, żeby moje wełniane spodnie koloru marchewkowego zachowały się w historii teatru, ale ponczem ode mnie czuć nie było. To przecież był grzaniec Vinetto.

Definitywnie porzuciłam deski teatru, już więcej nie występowałam. Muza komedii Taleja definitywnie utraciła swoją kapłankę. *Ja* nie jestem tak prostacka jak jakaś Gloria Swanson, która pozwoliła agentowi namówić się na powrót.

Niejeden wybitny aktor umarł w ubóstwie. Ja nie umrę w ubóstwie. Oddałam swą rękę handlarzowi pilników, Anttiemu Ryytty, i z nim zamierzam być szczęśliwa do końca mojego życia.

Trochę wyrozumiałości, panie i panowie. Tylko wariat zatruwałby sobie głowę z powodu jednych wełnianych spodni.

Godność jest pierwszym warunkiem. Młodszy konstabl nie zapuszczają już wąsów i jestem pewien, że zmniejszył się przez to szacunek dla prawa. Brak wąsów zachęca do uśmiechania się do znajomych na ulicy. Jaka to władza, która się uśmiecha? Żadna.

Weźmy jeden przykład z dziedziny godności. Od ulicy Kupieckiej do ulicy Ratuszowej jest dokładnie sto dwadzieścia jeden kroków. W oparciu o ponad trzydziestoletnie doświadczenie tych kroków jest sto dwadzieścia i jeden. Załóżmy, że przyszłoby mi do głowy, aby przemierzyć ten odcinek drogi w stu dużych krokach. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zrobiłoby właściwie wysyłając mnie na emeryturę. Na szczęście nic takiego nigdy nie przyszło mi do głowy i nigdy też nie przyjdzie. Po tym jak podjąłem pracę na policji, nie pozwoliłem, aby w ogóle cokolwiek przychodziło mi do głowy.

Stróż porządku musi być bezstronny, bogaci i biedni są wobec niego równi.

Weźmy jeden przykład z dziedziny bezstronności: Kilka lat temu w mieście zagościła węgierska tancerka. Nie powiem jak się nazywała, moje stanowisko nie pozwala mi na to, poza tym w jej nazwisku było sporo liter „z”. Owa tancerka dała pokaz tańca w domu gromadzkim. Mnie tam nie było, wykluczone, polityka Węgier jest taka niestabilna.

Partnerował tej tancerce lektor Vahanen. Jest wdowcem i zna języki obce. Miejskowa społeczność wybrała go na towarzysza

wieczoru tancerki, prawdopodobnie głównie dlatego, że zna języki.

Niech już będzie. Późnym wieczorem po przedstawieniu stróżuję na rogu liceum, gdy ci, tancerka i lektor, nadjeżdżają powozem. Słyszę jak rozmawiają w sposób bardzo frywolny. Mówią i chichoczą, ale nie idę ich pouczyć, gdyż nie znam języków obcych. Potem przemknęli szybko do szkoły przez drzwi dla nauczycieli.

Zerknąłem na zegarek, ale niczego nie notowałem.

Dorożkarz odjeżdża i puszcza mi oczko. Widzę to w świetle ulicznej lampy. Niektórzy dorożkarze nie znają obyczajów.

Co nastąpiło dalej, nie powiem. Ale rano powiadamiam komendanta i sporządzam raport.

—Panie komendancie, chciałbym powiadomić pana o sprawie, którą według mnie należałoby rozpatrzyć przy zamkniętych drzwiach.

—A co takiego konstabl Metso ma na myśli?

—Chodzi o to, panie komendancie, że jest to sprawa dość delikatna.

Mrugnąłem komendantowi i zrozumiał od razu.

—W mieście dopuszczono się lekkiej nieprzyzwoitości, panie komendancie.

—Aha, no mówcie.

—Panie komendancie, w dniu wczorajszym o godzinie dwunastej czterdzieści pięć przed drzwiami liceum podjechał powóz, z którego wyszły dwie osoby. Mogę pod przysięgą zeznać, że jedną z tych osób był lektor Vahanen. Druga osoba natomiast była prawdopodobnie kobietą, węgierskiego pochodzenia. Nie mogę powiedzieć nic pewnego, ponieważ nie przedstawiono mi.

—Aha, tak. No i co z tego?

—Weszli do szkoły, do mieszkania nauczycielskiego. Widziałem jak tam zaświecono.

—Mieszkanie jest po stronie ulicy, czyż nie?

—Tak, panie komendancie. Dokładnie na poziomie ulicznej lampy.

-I co było dalej?

—Dalej wydarzyły się następujące rzeczy: mężczyzna gonił od tyłu kobietę w środku pomieszczenia. Kobieta była skąpo ubrana. Biegali wokół stołu. Godzina była dwunasta pięćdziesiąt pięć.

—I co było dalej?

—Nic więcej, panie komendancie.

—Może ta tancerka miała na sobie strój z występu?

—No tak, tylko kto w jakim stroju występuje, panie komendancie.

—Hm, tak, a jak konstablowi udało się to wszystko zobaczyć?

—Wdrapałem się na dach przeciwległego budynku, panie komendancie.

Ta sprawa nie miała dalszych konsekwencji, przypuszczam, że dlatego, iż sprawa dotyczyła cudzoziemki. Wobec tego wydawało mi się dozwolone, aby opowiedzieć o tym też mojej żonie.

Nie wyraziła ona konkretnej opinii na ten temat, zadawała tylko takie same pytania co komendant. Następnego ranka kazała mi ubrać stare kalosze, żeby moje buty się nie niszczyły.

Toż to niemiłosiernie stare buciorzyska i na dodatek śliskie. Narzekałem.

Tak właśnie. Aż nie chce się wspinać.

Spotykam lektora Vahanena prawie codziennie. Dziwię się dlaczego on nawet mnie nie unika. Gdybym był dorożkarzem, mogłoby się zdarzyć, że puściłbym mu oczko. Ale ja jestem tak jakbym nie wiedział o niczym.

Mojej żonie przychodzą czasami do głowy dziwne pomysły. Pewnego wieczoru, nie tak dawno, powiedziała mi ni stąd ni zowąd:

—Pokażesz mi, jak będziesz miał czas, jak to Vahanen gonił od tyłu tę tancerkę?

—No co ty teraz wydziwiasz? — powiedziałem. — Chyba jesteś chora. Idź spać. Masz zarumienione policzki.

Mam już dziesięć lat i niezbyt dobre świadectwo. Takie się dostaje, gdy się jest leniwym, głupim i roztrzepanym.

Moja mama wynajęła kiosk z papierosami i słodyczami w parku. Siedzi tam od rana do wieczora. Ma niebieskie ręce. Ojciec jest inżynierem. Inżynier to jest ktoś taki, kto jest ciągle pijany i wrzeszczy na innych.

Poranki są najgorsze. Ojciec jest wtedy chory, a mama nie zawsze ma pieniądze, żeby mu dać. Ale potem ona idzie do swojego kiosku. Ojciec też wychodzi, ale później. Idzie do swoich znajomych. Kłótnia jest najgorsza.

Wieczorem ojciec jest już w fazie pobożności. Wtedy już wszystko jest w porządku. Udaje, że jest z Panem Bogiem za pan brat. Gdy ma już pełną głowę, pada z hukiem na kolana przy swoim łóżku i modli się: „Drogi Boże, wybacz jej, jak ja jej wybaczam. Niech matce będzie wybaczone.”

Potem ten modlący się wspina się na łóżko.

Gdy byłam mniejsza i bardziej dziecinna, ludzie pytali mnie o wiele różnych rzeczy.

- Kim będziesz jak dorośniesz?

- Dziwką.

Teraz wiem już od dłuższego czasu, że ojciec nie zna mamy. To, że na przykład ojciec wyzywa mamę, to w to nie trzeba wierzyć. Dlatego musiałam być taka wygadana jako dziecko.

Wydaje mi się, że prędzej czy później pozbędziemy się go, znaczy ojca. Nie byłabym chyba strasznie zadowolona, gdyby umarł, ale nie wiem, jak inaczej byśmy się go pozbyły.

Ilona jest ode mnie o wiele mniejsza. Oni są biedni, ale za to ojciec Ilony nie jest inżynierem. Czasami biegnę do nich pobawić się, tam pachnie starocia.

Mama boi się, że ojciec dostanie rozkaz z góry. Taki rozkaz, żeby zabić mamę. Ale ja się nie boję. Bóg nie każe czegoś takiego. On wie, że sprawy inżyniera nie są w najlepszym porządku. Bóg weźmie ojca do siebie i wyleczy jego chorą głowę.

Gdy komórka plemnika spotka się z komórką jajową, powstaje człowiek. Gdy położy się główkę zapalniczki na kamieniu i uderzy się drugim, wtedy wybucha. Chcę uczyć się, żeby wiedzieć o wszystkich takich rzeczach.

Przykro mi, że nie ma wolnych pokoi, tak, niestety, wszystko zarezerwowane, dziękuję i do widzenia.

Oczywiście, panie dyrektorze, naturalnie, czyli pański poprzedni pokój. Odwiozę pana windą. Dziękuję, panie dyrektorze, dziękuję, ale to naprawdę za dużo.

Czy właśnie to jest życie? A może powinienem zacząć głosić kazania w Wolnym Kościele*, albo co innego powinienem robić? Cha, cha, to też są gadaniny portiera.

Do mojego kontuaru prowadzi długi korytarz od drzwi wejściowych. Wspaniały korytarz. Już w jego połowie potrafię rozpoznać osobę, która wchodzi. Wiem kto jest kim, i czy mamy wolne pokoje czy też nie.

Pan Harjula, skarbnik kasy miejskiej, witam, tak, tutaj są pańskie klucze, trzysta dziesięć. Tak, to jest ten pokój w rogu. Kolacja dla dwojga tak jak zwykle. Tak, panie skarbniku, przekazę starszemu kelnerowi. Powiadomię, jeżeli ktoś będzie pytał — pan skarbnik jest w trzysta dziesięć. Hoho, no, o to chyba nie trzeba już pytać. Dziękuję, panie skarbniku, dziękuję, ale to naprawdę za dużo.

Skarbnik Harjula idzie do pokoju trzysta dziesięć, stary kawaler z mokrymi ustami. Kawaler!

Po dziesięciu minutach przychodzi radczyni Wahl. Zawsze przytrzaskuje sobie rąbek futra w drzwiach.

* Protestancki ruch działający niezależnie od władz.

Dobry wieczór, pani radczyni. Tak, trzysta dziesięć. Dziękuję, pani radczyni, dziękuję, ale to naprawdę...

Ta stara miotła.

Do korytarza zbliża się dwójka młodych: dziewczyna i chłopak. Nie są miejscowi, prawdopodobnie z pobliskiej wsi. Dziewczyna obraca się, żeby przeczytać rozkład, chłopak mówi.

— Czy dostalibyśmy dwa pokoje jednoosobowe? Przyjechalibyśmy na ferie zimowe, w pociągu poznaliśmy się przez przypadek. Zabawne spotkanie, chyba się zaprzyjaźniliśmy. Tak więc dwa pokoje jednoosobowe, skoro poznaliśmy się i skoro przyjechalibyśmy na ferie zimowe...

Jak dużo mówi ten chłopak. Jemu wydaje się, że mężczyźni światowi mówią dużo do hotelowych portierów. Przynajmniej jest mu łatwiej, kiedy może mówić.

A dziewczyna zaczyna uczyć się rozkładu na pamięć.

— Tak, tak, proszę pana. Tak się składa, że mamy w tej chwili wolne dwa pokoje jednoosobowe. Proszę wypełnić te formularze. Tutaj są klucze. Proszę, dla panienki, proszę, dla pana.

No i co ja mam im mówić, że drzwi od ich pokoi są naprzeciw siebie.

Młodzi nie mają łatwo. Pomyśleć, że trzeba udać się do hotelu, aby w spokoju patrzeć sobie w oczy. Co ja miałem przydzielić im pokoje na różnych piętrach?

Noc, na dworze pada śnieg, rozpinam kołnierz.

Oczywiście z pokoju sto dwa wyjdzie ta nauczycielka. Już tak podejrzewałem w dzień. Drogi peniuar, za drogi jak na nauczycielkę.

— Czy pan portier też nie śpi? Nijak nie mogłam zasnąć. No, niech pan przyjdzie na chwilkę do mojego pokoju na pogawędkę. Nie? Telefon, rozumiem. Ale mogę chyba posiedzieć sobie chwilkę w dyżurce. O jak tu u pana przytulnie!

A potem jakżeby inaczej:

— No, napije się pan szklaneczkę likieru. Przyniosę z mojego pokoju. Pan spotyka tak wielu ludzi, panie portierze. Czarujący

zawód. Czy tych drzwi nie można by zamknąć? Zna się pan na pewno dobrze na ludziach, potrafi ich pan przejrzeć na wylot. Ma pan takie smutne oczy. Czy pan się krępuje?

Tak oni sobie krążą nocami, nie wszyscy, ale więcej niż się wydaje. Jedni w peniuarach, drudzy w koszulach nocnych. Spostrzegają smutne oczy portiera i chcą wiedzieć co go krępuje.

Czemu temu skarbnikowi nie powiedziałem, że trzysta dziesięć jest zajęte? No ale chłopiec z dziewczyną przyszli dopiero po nich.

Fuj, cholera!

Słyszałam, że jest gdzieś taki kraj, w którym kobiety mogą mieć wielu mężczyzn. Oj, byłabym ciekawa wiedzieć ile kobiet byłoby zainteresowanych skorzystaniem z takiego przywileju.

Wyobraźcie sobie teraz na przykład takiego, jak ten komendant policji. Chociaż mogłabym mieć dziesięć takich nygusów, to powiedziałabym: dziękuję, nie.

Posterunek policji stoi naprzeciwko mojego mieszkania. W złym miejscu wybudowali twój posterunek, panie komendancie. Przyjście do mnie z wizytą za dnia nie wchodzi w grę. Ale komendant policji ma długi dzień pracy, ojoj, ciężka to praca. Gdy jest wystarczająco ciemno, dzwonek do drzwi dzwoni.

— Ten podporucznik z kręconymi włosami był tutaj wczoraj — mówi i rozpina pasek.

-Był?

—Nie próbuj nawet, był ten z kręconymi włosami czy nie?

—Oho, chyba komendant policji nie jest zazdrosny?

—O ciebie zazdrosny? Ale powiedz czy był.

—Co cię to obchodzi?

—Powiedz.

—Zapnij swój pasek, komendancie policji. Nic z tego nie będzie.

—Jesteś dziwką, Matyldo.

—Powiedz to jeszcze raz.

On nie powie, ale ja to powiem. Po jakiego diabła tu leccie, zaślinione gęby? Zostalibyście lepiej przy swoich kobiecinkach.

Ale nie, trzeba sobie trochę pohasać, cha, cha! Zgrzytające reu-matyki, co trzęsą tu wąsami! Przekradamy się po cichu jak koniki polne, żeby się popieścić. Spytaj się radczyni Wahl, co to znaczy dziwka. Teraz już idź zanim cię wyrzucę.

Chyba dlatego tak się uniosłam, bo rano było tak miło.

Byłam w żwirowni z chłopakami. Oni nie są przecież bynajmniej aniołkami, oj nie, ale z drugiej strony nie mówią nic złego o innych.

Każdy z nich trzymał w ręce butelkę z trupa czaszką. Ziemia była pokryta szronem, ręce były zgrabiałe. Wsypali soli do butelek, potrzásali nimi między kolanami i śpiewali jednym głosem: „Do nas nie przyjdzie mróz, do nas nie przyjdzie mróz.” A potem chlali.

Aniołki Boże nie chleją z butelki z puszczelami na etykietce w żwirowni, ani ja. Ale ja im współczułam i dlatego czułam się dobrze.

Te chłopaki potrafią trzymać łapy z dala od kobiety, kiedy piją. Im wystarczy picie. W kilku gęsiego wędrują sobie często ranem do żwirowni, na skraj miasta i zaczynają już gdy słońce wstaje. Skrzypek siedzi między nimi i opowiada o różnych rzeczach. A czasami śpiewają sobie bardzo cicho. To jest muzyczne matinee, mówi skrzypek i wszyscy się śmieją do rozpuku, tak jak to się człowiek śmieje z dobrego dowcipu.

- Łyknij sobie, Matyldo.

-Nie.

— W takim razie siedź sobie na sucho.

Chociaż nie piję z nimi, to mnie i tak nie wyzywają od dziwek. Oni wiedzą co to kultura.

Życie jest nędzne, ale no przecież z własnej woli jestem tutaj co dzień. Nie może być więc ono aż tak strasznie nędzne.

Trzeba trochę udobruchać komendanta policji. Nie dlatego, że bez niego bym sobie nie poradziła finansowo, ale jego duszności się pogorszą, gdy będzie mu przykro.

A pani Wahl pošle kiedyś kwiaty. Od siostry po fachu.

Pewnie nie ma znikąd tak dobrego widoku na społeczeństwo jak z tego tutaj kozła, z siedzenia dorożkarza karawanu pogrzebowego.

Wiozę tutaj powoli radcę medycyny Wahla. Leży sobie tam za mną w czarnej trumnie z frędzelkami po bokach. Piękny ma na sobie strój ten skromny mężczyzna, który odchodzi.

Ruuna też ma na sobie nowy czaprak pogrzebowy. Radca medycyny byłby zadowolony, gdyby wiedział o tym.

Dobrym człowiekiem był ten Wahl. Za życia nie zabił dużo ludzi. A kiedy otrzymał tytuł honorowy, to porzucił swój zawód lekarza. Pewnie tym też można się w końcu znudzić.

A ile ludzi zebrało się, żeby przyglądać się tej procesji pogrzebowej, aż po brzegi ulicy. No, ale jak to by inaczej. W tym mieście nie oferuje się codziennie takich okazałych zwłok, oj nie.

Tam stoi właśnie Viinikainenowa. Już się zastanawiałem gdzie ona może się podziewać, skoro tu przecież jest jej stały punkt obserwacyjny. Na rogu następnej ulicy jest babcia Korolainen, a na następnej jeszcze Raatikainenowa. Tak to się porozdzielały z biegiem lat te stanowiska widzów.

Ruuna to zna już drogę, trafiłaby nawet beze mnie. No ale ja przecież siedzę sobie tutaj jako ozdoba w jedwabnym cylindrze i pelerynce. Podobno wyglądam raczej komicznie niż pogrzebowo.

W pierwszym wozie rechocze proboszcz wraz z kościelnym. Które ze swych kazań pogrzebowych wygłosi proboszcz? Czy to,

które wygłosił, gdy barka z drewnianymi balami poszła na dno wraz z trzema mężczyznami, czy może to, którym pobłogosławił grób Pirskanena, naczelnika stacji? Proboszcz, jak się postarzał, to zaczął trochę zmieniać te swoje kazania. Będzie już z dziesięć lat. Chyba wygłosi to kazanie Pirskanena, bo jest dłuższe.

Widać jak proboszcz mieli szczękami. Trzeba go było oczywiście znowu zabrać prosto od stołu, dlatego zawsze tak się spieszy.

Wdowa jedzie sama, pani radczyni. Musi się tam trochę teraz zastanawiać za woalką. Ale jej myśli należą przecież do niej.

A tutaj we własnej osobie stoi sobie pan Anders i przygląda się wszystkiemu trzymając swój kapelusz w ręce. Czyżby nie zaproszono go na stypę? O, i Kaarsona też przyprowadzili, aby się dziwował, sierocina. Stoją oni sobie tutaj teraz jeden przy drugim z gołymi głowami. To taki gest przy pożegnaniu, że jeden i drugi zdejmuje kapelusz.

No tak to jest, ziemski wędrowniku.

Długo to trwa. Wszyscy tam stoją w kolejce, ci którzy wymyślili sobie choćby najmniejszy powód, żeby w niej stać. O, jest tam też skarbnik kasy miejskiej. Znajomy rodziny. Ojjoj, radca medycyny ma, miał znajomego rodziny. Niegodziwca! Tylko, Boże mój, nie wypada przecież tutaj myśleć o tych różnych sprawach.

Spieszcie się, duszyczki, bo czas jest drogi.

No tak, oczywiście, pewnie że fotograf też już się tu kręci. Czyżby zamówiła go radczyni, a może gazeta? Tylko żeby ten wariat nie zatrzymywał całej procesji. Jak był pogrzeb starego burmistrza, to kazał zatrzymać się mężczyznom niosącym trumnę na drodze do cmentarza i powiedział: „Stop, a teraz będzie zdjęcie.” Opadali z sił ci starsi panowie, gdy trzymali w powietrzu tę ciężką dębową trumnę.

Oho, daj spokój, Ruuna, zaraz będziemy w domu.

Toż to piękny dzień, słońce przebłyskuje przez chmury. Wygląda na to, że z chęcią witają radcę medycyny tam u góry.

No, czy już pan jest u niebios bram? Powodzenia, nic poza tym, panie radco medycyny. Kłaniam się panu.

Prr, Ruuna. Teraz skręcamy.

Jutro będziemy Ronkainenom przewozić rzeczy do nowego mieszkania, przeprowadzają się. Wszyscy się przeprowadzają, zależy kto dokąd. Ruuna ciągnie, a ja siedzę na koźle.

Moja żona, magister Klaudia Pukki, pochodzi z rodziny Carls-sonów, Carlssonów z Helsinek.

Studiowaliśmy wówczas obydwójce na uniwersytecie letnim. Ja — nauki pedagogiczne, a ona coś innego, nie wiem dokładnie co. Nawiązaliśmy już bliższą znajomość przy jakiejś okoliczności, z jej inicjatywy. Ona nie miała wówczas jeszcze tytułu magistra.

Pewnego wieczoru po pracy, gdy siedzieliśmy w jej mieszkaniu, mgr Klaudia Carlsson powiedziała:

—Pijesz, Hjalmar?

—Nie, nie piję, panienko Carlsson.

—Możesz mi mówić Klaudia. Czy nie uważasz, że jest to piękne imię?

—To jest niespotykane ładne imię.

—No, nie przesadzaj. A może palisz, Hjalmar?

—Nie, nie palę.

—Mógłbyś sobie trochę palić. To nic nie szkodzi, jeżeli mężczyzna pachnie odrobinę tytoniem.

—Ja też o tym myślałem.

—Czy myślałeś nad tym, aby zacząć palić?

—Prawdę mówiąc, myślałem o tym.

—Z mojego powodu?

—No, no chyba.

—Chyba?

—No, na pewno tak.

—Ty tak pewnie umiesz trzymać w dłoniach nitki wełny, Hjal-mar.

—Uważam, że jeszcze będę w tym lepszy.

—Hjalmar, chyba wyjdę za ciebie za mąż.

—Ach tak?

—Co ty na to powiesz, mój chłopcze?

—Cieszyłbym się z tego niezmiernie... naprawdę wielce, Klau-dio... kochana.

Tak więc staliśmy się małżonkami, pani magister Pukki i pan nauczyciel Pukki.

Pani magister Pukki dostała wkrótce posadę w gimnazjum w tym mieście, a ja za jakiś czas później w miejscowej szkole podstawowej. Od tamtej pory, że tak powiem, odcisnęliśmy w mieście własne piętno.

Magister Pukki jest naprawdę wspaniałą kobietą. Niestety, nie chce mieć dzieci. Przypuszczam, że jeżeli chciałaby, to by urodziła. Z przyczyn zrozumiałych nie można mieć dzieci samemu. Poza tym wychowywanie dzieci stałoby się uciążliwe dla mnie, a to z powodu mojego stanowiska.

Magister Pukki odbyła dwa lata temu w lecie długą podróż naukową za granicę. Wysłała mi wiele listów i kartek. Niesamowicie potrafi opisywać życie i zwyczaje innych narodów. Pocztywki zaczynają się od słów „Drogi Hjalmarze”, a w listach „K. Hjalmarze!”.

Magister Pukki, moja żona, przygotowuje swoją pracę doktorską. Nie ma powodu rozpowiadać o tym za wcześnie, bo zazdrości jej wiele osób i zaczęliby pisać na ten sam temat. Nie chcąc chwalić się moim własnym zachowaniem, uważam za szczególną cechę mojego charakteru to, że nie byłem ciekaw, co moja żona pisze.

Właśnie niedawno wybrano mnie na dyrektora szkoły. Pozwolę sobie podkreślić — na dyrektora. Jeszcze chyba mógłbym sobie pozwolić na podkreślenie tego, że magister Pukki *nie* należy nawet do zarządu szkoły. Dziękuję, najlepszego wam życzę, nie mówmy o tym już więcej.

Mój kolega, nauczyciel Helminen twierdzi, że dyrektor szkoły otrzymywał czasami tytuł doradcy oświatowego. Wydaje mi się jednak, że nauczyciel Helminen się myli.

Pochodzę z rodziny Carlssonów, z tych z Helsinek.

Mam męża o wzroście 160 cm, o nazwisku Pukki*, Hjalmar Pukki. Cha, cha, cha! Ale już się do tego przyzwyczaiałam. To znaczy do nazwiska. Pomówmy raczej o czymś innym.

„Gdy się pomyśli, szanowni radni, o Rzymianach, którzy także byli narodem cywilizowanym, nie można bez zastanowienia podziwiać ich technicznych postępów. Już w roku 312 p.n.e. wprowadzono do Rzymu, ówczesnego centrum światowego imperium, wodociąg. Później, cesarze Trajan i Hadrian, szanowni członkowie rady miejskiej może pamiętają ich historię, przyznając, że woda jest dobrem kultury, kazali budować kolejne wodociągi, które nazwano akweduktami. Wzdłuż nich, z bardzo dalekich stron podciągnięto wodę ze znajdujących się wysoko w górach źródeł aż do miasta, które było centrum ówczesnego świata, aby jego mieszkańcy mogli z niej korzystać. Mogę państwa zapewnić, że woda, która jest w tych studniach pochodzących z zamierzchłych czasów jest wciąż czymś najświeższym, czymś najczystszy. Miałam dwa lata temu szczęście odbyć podróż w celach naukowych między innymi do Rzymu. Ledwie mogę opisać, co czułam stojąc przy słynnej Fontannie di Trevi, w której sam bóg morza Neptun... Tak, szanowni radni, biorąc to wszystko pod uwagę, kiedy teraz musimy zastanowić się nad

* Fiń. 'koziół, cap; satyr, erotoman'.

przyznaniem dofinansowania na doprowadzenie wodociągu i wykonanie kanalizacji w dzielnicy Śpiewne Wzgórza, uważam, że powinniście je przyznać. Ku mojej radości zauważyłam też, że ten projekt rady już został uznany za przydatny przez wszystkie ugrupowania radnych. Będąc społecznością cywilizowaną, naszym obowiązkiem jest naprawdę dbać o to, aby ludzie ze Śpiewnych Wzgórz dostali wreszcie swój akwedukt."

Praca w szkole jest męcząca. Mówiąc wprost, daje w kość niemiłośniernie, jeśli ma się przy tym trochę aktywnych ogólnych hobby. Ale cóż, mam i z tego oczywiście własną satysfakcję.

W czwartej klasie jest wyjątkowo miło wyglądający chłopiec, Kaarlo Ramo* — cóż za straszne nazwisko dla tak sympatycznego chłopca. Jego ojciec pracuje gdzieś tam na poczcie, ale rysy Ka-arla są, mówiąc wprost, arystokratyczne. Ma długie ręce i nogi, i jest niezwykle rozwinięty jak na swój wiek.

Przytoczę małe, rozczulające zdarzenie. Pewnego razu na lekcji zdarzyło się tak:

- Co ty tam czytasz, Kaarlo? Co masz na kolanach?
- Nic.
- Kaarlo, wstań. Masz w ręce jakąś gazetę, przynieś ją tutaj.
- To tylko taka gazeta o filmach.
- Na to wygląda. Czy na tę ilustrację Kaarlo patrzył? -Tak.
- Kto jest na niej?
- Marilyn Monroe.
- A co w niej jest do oglądania, Kaarlo?
- Nie wiem.
- Powiedz mi, Kaarlo.
- Ona... ona jest trochę podobna do pani magister. Więcej nie męczyłam chłopaka, zaczerwienił się tak uroczo.

Skonfiskowałam tylko gazetę, wsadziłam ją spokojnie do swojej teczki.

* To nazwisko może się kojarzyć z fiń. *ramē* 'bagno'.

W domu rzuciłam trochę okiem na ilustrację. Nie, ta Mari-lyn Monroe nie jest do mnie podobna. Chłopak widzi mnie ewidentnie w jakimś wyidealizowanym świede. Choć... o ile może w układzie oczu i w kształcie ust nie ma czegoś... Nikt przecież właściwie nie wie, do kogo jest się podobnym.

Czego jeszcze życzę sobie od życia? Niewiele, mam prawie wszystko. Byleby tylko Hjalmar nauczył się, że nie trzepie się dywanów wtedy, kiedy jestem w domu.

W pierwszym roku urzędowania przypiąłem na ścianie wszystkich miejskich toalet kartkę: „Przed wyjściem proszę doprowadzić do porządku swoje ubranie”.

Władze miejskie zauważyły, że przekroczyłem swoje uprawnienia. Niczego się nie zwalczy bez osobistego poświęcenia, powiedziałem. Placę za te plakaty z własnej kieszeni. Sam je przecież wykaligrafowałem.

Współczesna nauka, higiena, walczy z głęboko zakorzenionymi uprzedzeniami. Kilka lat temu ruszyłem do ataku przeciwko szczurom. Przynęty z trucizną porozkładałem wszędzie. Jedynym, o którym wiadomo, że ją zjadł, był pies pana Andersa. Zdechł.

Pan Anders powiedział mi, że działałem wbrew prawu i kazał mi zapłacić za psa.

Nie znam prawa, powiedziałem, ale na pewno nie zabrania ono zabijania szczurów. Nie zapłacę za pańskiego psa.

— Powinien był pan porozwieszać na bramach ostrzeżenia, że zostały podłożone trutki.

Ani myślę własnym kosztem wypisywać wam kartek z ostrzeżeniem. A poza tym, nie wierzę, żeby pies pana sędziego umiał czytać.

Pan Anders zagroził zdjęciem mnie ze stanowiska. Ale zapomniał, że w tym miasteczku praca inspektora sanitarnego jest wolontariatem. Za to nie dostaje się pensji. A nikt inny nawet by nie chciał takiego stanowiska.

W wyniku długich badań teoretycznie rozwiązałem już kwestię, jak można a priori odgadnąć, czy z jajka wyjdzie kogut czy kura. Ta praca badawcza nie odbyła się bez osobistych poświęceń. Zjedliśmy ogromne ilości jaj kurzych, i mam chronicznie twarde brzuch.

Tę wspomnianą pracę mojego życia próbowałem nakreślić w sposób popularnonaukowy w kilku napisanych przez siebie artykułach, ale dziennikarz Póyhönen z „Dziennika Porannego” ciągle z żalem tłumaczy, że brak miejsca. Zobaczymy, jak zatka tego sceptyka, kiedy dostanę subwencje na szerszej zakrojone badania laboratoryjne, o które ubiegam się w Ministerstwie Edukacji.

Wiem, że w tym miasteczku są cynicy, którzy duchowo wytykają mnie palcami. Ale ja się ich pytam:

Czy wiecie, dlaczego przy szerszej końcówce jaja jest taka mała pusta przestrzeń? Nie wiecie.

Czy wiecie, ile trwa kształtowanie się skorupki jaja? Nie wiecie.

Czy wiecie, co się dzieje, gdy kura je nasiona tasznika pospolitego (*Capsella bursa pastoris*)? Nawet tego nie wiecie.

Jak możecie zauważyć, sfera wiedzy jest nieskończenie szeroka. Naukowo uformowanej inteligencji nie brakuje pola do badań. Pilna praca trwa dalej w pracowniach badawczych.

Ale wam, którym negatywna mentalność przeszkadza zrozumieć tych, którzy rozwiązują zagadki życia, pragnę powiedzieć to jeszcze:

Więcej znaczy wiedzieć o jajku w tym miasteczku, niż o atomie w Harwell*. *Omnium ex ovo***.

* Centrum badań nad energią nuklearną w płd. Anglii, ok. 20 km od Oxfor-du, założone w 1946 r.

** Łac. *Wszystko %jaja*. Podobne stwierdzenie, *Omne pivum ex ovo* (*wszystko, co żyje pochodzi z jaja) jest przypisywane ang. fizjologowi i lekarzowi Williamowi Harveyowi (1578—1657).

Lekcje śpiewu dawałam w tym mieście odkąd na scenie operowej nie było już pożytku z jakichkolwiek gorsetów. To już kilkanaście lat. Mon Dieu!

Jakie to ja opery śpiewałam? Nie pytajcie się mnie. Rzućcie okiem na artykuł, który napisali w „Dzienniku Porannym” w dniu moich pięćdziesiątych piątych urodzin. Zawiera wyczerpujące informacje; sama go napisałam.

Niemcy byli dżentelmenami. Pewnego razu otrzymali tutaj przydział, nie wiem, dlaczego. Może na odpoczynek. Podczas wojny to chyba jedzie się czasem na urlop. Moja znajomość języka — ach, te drezdeńskie czasy! — była długo doceniana.

—Wie pan, co mam w tej ręce, Herr Oberleutnant?

—Wzięła pani coś z doniczki, Liebling.

—To jest fińska ziemia, Herr Oberleutnant.

—Rozumiem, Madame.

—Jest pan na świętej wyprawie krzyżowej na wschód, wkrótce pomaszerujecie na Moskwę.

-Tak.

— Proszę wziąć tę ziemię, poruczniku. Proszę nią posypać ulicę tego miasta, z którego przegonicie barbarzyńców.

Wcisnęłam mu ziemię do kieszeni.

Była to wojna błyskawiczna. Tchnęłam trochę patriotycznego entuzjazmu w tych białych niemieckich chłopców. Kiedy śpiewałam dla nich *Nach Frankreich %opgen die %wei Grenadier', die waren*

*in Wussland gefangen** stawali się jeszcze bledsi, a ich wargi zaciskały się z determinacją.

Potem było jak było. Cóż z tego, historia świata jest mi w sumie obojętna.

Ale cóż za czas odrodzenia nadszedł dla mojego nieugiętego narodu! Oszałamiający, przyprawiający o zawrót głowy szum wiosennego wiatru przebiegał przez kraj. Tłumy, które drzemały w okowach niewoli, budziły się do nowego życia. Flagi, ludzie, mównica na placu.

„Siostry, bracia! Idź do przodu, narodzie silny. Kraju biedny, kraju ukochany, ten tłum, który tu dookoła widzimy nie opuści cię. Serca płoną, wolność zaprasza, prawa człowieka czekają.” Zdażyłam jeszcze zaśpiewać *Marsyliankę* tylko do połowy, kiedy mnie zdjęli z mównicy. Ludzie krzyczeli, śmiali się i byli kompletnie oszalani z radości.

A jednak koniec końców - ich rewolucja zatrzymała się w połowie. Wśród nich było tak niewiele inteligencji.

Zresztą dzięki temu do moich pamiętników, które właśnie piszę, trafi na pewno niezła historyjka. Moje pamiętniki - w nich złożę na ręce drogiego mi narodu mój ostatni podarunek — około

* Są to dwa pierwsze wersy wiersza Heinricha Heinego *Die Grenadiere* („Grenadierzy”) ze zbioru *Buch der Ueder* („Księga Pieśni”) z r. 1827. W tłumaczeniu polskim Stanisława Łempickiego: *Do Francji wracali dwaj grenadierzy z niewoli rosyjskiej dwa jeńcy*. W zbiorze: H. Heine, *Wiersze*, Wrocław, Ossolineum, 1951, str. 46 (tamże w przypisie objaśniającym tekst Z. Żygulski pisze: „Wiersz ten miał wedle własnych słów autora, powstać już w roku 1816. Heine widział na własne oczy jeńców francuskich, którzy po kilkuletniej wojnie wracali z Rosji do Francji. Jeden z nich wiozł podobno na taczkach zwłoki swego towarzysza, aby je pochować w ziemi francuskiej”, chodzi oczywiście o odwrót wojsk napoleońskich w 1812 r., kiedy podczas wojny z Rosją, pomimo zdobycia Moskwy, Wielka Armia Napoleona musiała zimą uciekać, ponosząc olbrzymie straty i ginąc prawie doszczętnie).

Do tekstów *Buch der Ueder* („Księga Pieśni”) H. Heinego muzykę komponował min. Robert Schumann.

siedmiu części streszczonej historii cywilizacji: obnażam moją duszę całkowicie, odważnie idę do przodu taka, jaka jestem, opublikuję listy miłosne od posła Karvanena.

Wspomnienia, bogate wspomnienia, w nich mam coś, co ściska mnie w dołku, kiedy słucham pani Hassinen, która śpiewa jak zardzewiały kurek na kościele.

Mój przyjacielu, rozejrzyjmy się naokoło nas w tym mieście. Popatrzmy na naszych wspólnych znajomych, których życie, z racji niewielkich rozmiarów miejscowości, jest dla nas niczym otwarta księga. I co widzimy?

Dyrektor banku, Happala pił i dostał się do więzienia, przedsiębiorca Kiiskinen leży w szpitalu jako ofiara zbyt burzliwego trybu życia, a babcia Koskinen, ta od gazet, ma w termosie spirytus zmieszany z kawą. Można zaświadczyć, że portier Kekalai-nen nie wylewał za kołnierz na przyjęciu dla weteranów wojennych, a portier z Domu Związków Zawodowych chwiejąc się na nogach śpiewał *Międzynarodówkę* na pierwszego maja. Pułkownik Bruun — może pominiemy kadrę oficerską spuszczać kurtynę miłosierdzia. Fotograf Hurmę krąży między nami i irytuje tych, których nie stać na picie codziennie. Handlowiec Kónonen wydaje się być trzeźwy, ale mówi się, że przeprowadza się wkrótce do Ameryki. Na wygląd nosa konstabla Metso wpłynęło coś innego niż mróz i zawieruchy. Hotelowy portier Julius jest hotelowym portierem, a Matylda szwaczka ma złą opinię, więc też musi pić. Starej wdowie Pellenius zadałem pytanie dotyczące jej sumienia: czy byłaby w stanie ewentualnie zaakceptować wino, na co ona powiedziała, że ją nie interesują takie poidła dla cielaków, chociaż lubi może likiery. Szewc Miettinen żyje w odosobnieniu ukrywając w ten sposób nie wiadomo jak okropne wady. Dorożkarz Koljonen nie zabiera nieboszczyka, póki nie lyknie

sobie jednego, a o Adzie Karhunen z piekarni mówi się, że do swoich wypieków dodaje koniaku. Co do panny Siren, staruszki z wyższych sfer, wiadomo, że lubi sherry. Aktorka Sievanen została zwolniona z powodu ponczu, o młodości pastora Raity mówi się różne rzeczy, a Julkunen, właściciel kamienicy, też piłby, gdyby ktoś go poczęstował. I tak dalej. Nie wspominając w ogóle o pewnych inżynierach i sędziach, a ściślej o młodszych sędziach, których imion nie uważam za potrzebne wymieniać.

Z takim narodem przyszło mi maszerować trzymając wysoko chorągiew idei trzeźwości. Nie myśląc o sobie byłem przewodniczącym klubu, harowałem w kółku recytatorskim i oddawałem strzały startowe w wyścigach klubu abstynenta w biegu w workach.

Aż pewnego dnia kontrolerzy zauważyli niedociągnięcia w moich rozliczeniach. O żadnych nadużyciach nie mogło być mowy, księgi po prostu się pomieszały. Gdy kontrolerzy opuszczali mój dom wzięli ze sobą sto sztuk różnych proszków, których zwykłem sobie zażywać codziennie jakieś trzydzieści.

Czyż nie jest niezmiernie okrutne to, że mężczyzna, który prawie trzydzieści lat walczył w imię swoich przekonań i był wzorem dla dorastającej młodzieży, musi zrezygnować ze wszelkich stanowisk przewodniczącego tylko z tego powodu, że zaczęto go nazywać Proszek-Pirinen?

Znam wielu ludzi z wyższych sfer, tak jak inni. Nie witam się z nimi na salonach, ale piorę ich ubrania. A skoro znam ich ubrania, to znam też tych ludzi z wyższych sfer.

Żona pułkownika Bruuna jest młoda i piękna. W dodatku ona musi być też dobrym człowiekiem. Gdy jest się młodym i pięknym nie jest łatwo być dobrym. Ale pułkownikowa taka jest. Nie słyszałam nigdy, żeby się kłóciła, mimo to jej mąż ma problem z sercem lub cukrzycę. Głowa pułkownika ciągle się poci, widać to z poszewek na poduszki.

Pani magister Pukki chodzi z głową podniesioną do góry, jest jak statek wojenny. W tym mieście jest tak mało wykształconych i mądrych kobiet. Ale żal mi pani magister Pukki. Ona ma tak dużo pięknej bielizny osobistej, piękniejszej niż ktokolwiek inny. Ale dla kogo?

Nauczyciel Pukki, jej mąż, nie czyści swojego zadka tak jak trzeba.

Jestem praczką i powinnam się zbuntować. Praczkki zawsze były takie buntownicze. Gdy stoi się w parze wodnej i wdycha się zapach szarego mydła, a potem płucze się na czworaka ubrania w przereźbli, wtedy do głowy przychodzą myśli pełne złości. A gdy nazbiera się ich wystarczająco dużo, wtedy chce się rzucić ługiem w oczy tym ludziom, którzy każą prać sobie ubrania.

Ale ja wiem, że między koszulą mojego męża, a koszulą pana magistra nie ma większej różnicy. Mankiety magistra są chyba bardziej wytarte.

Antikainenowej, która wynajmuje sąsiedni kocioł do prania bielizny, reumatyzm wykrzywił jedną rękę. Praktycznie musi sobie radzić tylko tą drugą.

— Co Antikaiska robi jeszcze tutaj w pralni? Przecież wasz mężulek wyżywiłby was.

- Nie pleć! Nigdzie nie ma takiej wolności słowa jak tutaj. Tu tutaj wyklinam na wszystko i na wszystkich, ale nikogo nie obrażam. Potem w domu potrafię zachowywać się jak człowiek.

Taka jest Antikainenowa, mówi tyle ile mówi. Duma i upór nie pozwalają jej zniżyć się do narzekania.

Było co było, jedno postanowiłam: Ilona nie będzie w przyszłości prała cudzych ciuchów, już ja o to zadbam.

Czyż w tym wszystkim nie ma czegoś zadziwiającego: panie rozlewają likiery po obrusach, a ja żyję z tego.

Świat jest odpowiednio urządzony.

PIĘCIOLETNIA ILONA

W tym mieście mieszkają sami grzeczni ludzie.

Rano, jak tylko się budzę, biegnę do drzwi piekarni cioci Kar-hunen. Oczywiście, że nie do samych drzwi, ale w tamte okolice. Tam sobie stoję i oddycham. A jak tam oddycham, to tak jakbym opowiadała jakąś bajkę. Potem ciocia Karhunen przychodzi i daje mi bułkę, która jest tak gorąca, że parzy w palce. Potem ciocia zawsze mówi coś do mnie, ale ja nie mam czasu tego słuchać. Na pewno to nic ważnego, bo mówi to tak przyjaźnie. Biegnę z powrotem do domu.

W dzień przyjeżdża ciężarówka z drewnem do nauczycielki Koivu. Ponieważ jestem grzeczną dziewczynką i nie jestem zbyt rozbrykana, mogę wrzucić drewnienka do piwnicy pani nauczycielki. A potem, jak wrzucę wszystkie i umyję sobie ręce, mogę posiedzieć trochę w jej domu. Oczywiście pod warunkiem, że będę cicho i nie będę przeszkadzać. Niech Bóg cię wynagrodzi, mówi pani Koivu i poklepuje mnie po głowie. Płakałabym gdybym tylko się na to odważyła, taka dobra jest dla mnie pani nauczycielka. A Ojciec w Niebie jest mi winien dwa lizaki z syropem.

Po południu idę na stary cmentarz. Tam kwitną cudowne czeremchy. Zrywam parę gałązek i idę zadzwonić do drzwi pana konstabla Metso.

— Czy wujek starszy konstabl kupiłby kwiatki?

- Nie zerwałaś ty ich tylko z ogrodu pana Andersa?

- Pewnie, że nie.
- Ile kosztują te twoje kwiatki?
- Dziesięć marek, tak jak wcześniej.
- Masz tutaj, proszę, i bądź zawsze grzeczną dziewczynką.
- Dziękuję. Niech Bóg wynagrodzi wujka starszego konstabla.

Konstabl Metso jest taki miły i dobry. Chciałabym, aby każdy nazywał go starszym konstablem.

Wieczorem, przed zachodem słońca, ojciec idzie z taczką do pralni po mamę. Mama pierze tam ubrania i zarabia pieniądze. Z powrotem wracają z wieloma koszami mokrych ubrań i ledwie co mają siłę pchać razem taczkę. Mama i tata rozwieszają ubrania na sznurkach, aż zapelnia się całe podwórko. Wtedy nie wolno mi tam biegać.

Zapach kawy wypełnia nasz pokój. Mama kruszy cukier nożyczkami. Budzik tyka na komodzie, a rano o szóstej wydzwania melodyjkę. Ale to dopiero jakoś nad ranem.

Mama budzi mnie i mówi, że lepiej będzie, jak będę spała w łóżku niż na krześle. Wczołguję się pod kołdrę i odmawiam Ojcie Nasz, żeby On chronił mnie i mamę i tatę i ciocię pieka-rzową i wszystkich.

Każdy ma swoje wizje. Chyba powinno się je mieć, bo inaczej byłoby zbyt ciężko. Konstabl Metso zadbał znowu o ceny rynkowe. No, założyłbym się, że one są przez niego o kilka marek niższe niż w rzeczywistości. Metso ma ceny na oku. Na jego placu trzeba sprzedawać trochę taniej niż gdzie indziej.

Nie minął nawet rok jak pan Anders kupił ten „Dziennik Poranny”. Obecnie jest to takie bezproblemowe. Pieniądze na ladę i już. I w ten sposób trzy razy na tydzień ma się do dyspozycji odziedziczone po ojcach zasady i niezachwiany światopogląd. Tak to jest. Każdy pociesza się jak umie, każdy to inaczej sobie wyobraża.

Młody Salminen śmieje się, że wciąż piszę ręcznie i że moje „s” jest jeszcze takie starodawne. Ale mówię Salminenowi, że będę sobie pisał takie „s”, jakie tylko będę chciał. Takich świństw jak wy młodzi ja moim „s” nie wypisuję. Ani takich bezmyślności. Ale prawdę mówiąc, to ja tutaj gniję. Stałem się starym szczurem gazetowym, zwykłym łowcą wiadomości. Bo nie nauczyłem się pisać wszystkich „s” tak samo.

W moim życiu zdarzyło się już wiele, o niejednym się pisało. Czasami nawet się pisało tak, żeby tylko był artykuł. No ale dawniej tak się zdarzało, naprawdę rzadziej niż teraz.

Wczoraj około południa w naszym mieście, na wzgórzu, gdzie jest dom opieki społecznej, wydarzył się szokujący wypadek drogowy, w którym wicesędzia Anders Pellenius zginął w sposób

przykry. No tak, „w sposób przykry” powinno się chyba skreślić, tych innych sposobów chyba jest parę. Na temat wypadku uzyskaliśmy następujące informacje:

O wymienionej porze wicesędzie Pellenius, który należał do zarządu domu opieki społecznej, wchodził na wspomniane wzgórze, które jest znane ze swojej stromości. W połowie drogi pod górę, naprzeciw Pelleniusa nadjechał rowerem z dużą prędkością pensjonariusz pobliskiego domu opieki społecznej — Kaarson. Stracił on widocznie panowanie nad rowerem i wjechał prosto na sędziego Pelleniusa, po czym obydwójce stoczyli się na pobocze jezdni. Rower rozleciał się doszczętnie — taa, a może jednak najpierw spytałbym się o inne rzeczy dotyczące wypadku. Rannych odwieziono prędko do szpitala, ale tam można było tylko stwierdzić, że sędzia Pellenius wyzionął ducha, prawdopodobnie w następstwie silnego uderzenia w potylicę. Natomiast pensjonariusz Kaarson wyszedł z tego wypadku z kilkoma nieznacznymi zdrapaniami. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Kaarson wziął nagle rower, który stał przy ścianie domu opieki społecznej. O ile wiadomo, nie umie on nawet jeździć na rowerze. Kaarson, który jest już starszym mężczyzną, znajduje się w głębokim szoku powypadkowym. Jak wynika z jego wypowiedzi, jemu wydawało się, że jechał motocyklem. Pacjent znajduje się dalej pod obserwacją medyczną. Jak już wcześniej powiedziano chodzi tutaj tylko o nieszczęśliwy wypadek.

Wicesędzia Pellenius urodził się — bla bla — po co z tym na pierwszą stronę, zamieści się te dane osobowe w nekrologu, gwiazdka w to miejsce. Niech zajmie się tym Salminen, on jest młodszy. Młodszy mają taki duży i świeży zasób słów. Ramka o grubości dwóch cycero, na jedną kolumnę, na trzeciej stronie. Przesuńcie to ogłoszenie fabryki mydła gdzie indziej.

Dziwna sprawa, chociaż takie rzeczy też się zdarzają. Kaarson musiał najechać na Andersa, żeby ten umarł. Bóg wziął winę na siebie. Coś takiego nie mogło się wydarzyć nigdzie indziej jak w samym życiu.

Pogrzeb jest za tydzień, taki zwyczaj. Salminen o tym napisze, on jest młodszy. Pani Hurmę trzeba powiedzieć, żeby przygotowała swojego męża na tę okoliczność.

Wszystkie prawdziwe wiersze napisane są po łacinie. Tak jak na przykład *Integer vitae**. Oraz *Gaudeamus igitur***.

Oj, ten czas idzie tak szybko do przodu. Zamykają tutejszą bibliotekę. Nic tu po mnie, Salminen zajmie się wszystkim. Jak się trochę pospieszę to zdążę jeszcze powiedzieć dobranoc temu staremu morsowi z biblioteki.

* *Integer vitae scelerisque purus* (łac.) 'o nieskazitelnym życiu i wolny od występku' - pierwszy wers XXII ody z I Księgi *Pieśni* (łac. *Carmina*) Horacego. W tłumaczeniu literackim, np. Adama Ważyka, wers ten brzmi: „Kto żyje godnie krwią nie splamiony” (Horacy, *Dwadzieścia dwie ody*, przeł. A. Ważyk, oprac. S. Stabryła, Ossolineum/DeAgostini, Wrocław 2004). Tamże (str. CXXXVI) Stanisław Stabryła objaśnia: „Patetyczny początek tej ody, śpiewany jeszcze w latach pięćdziesiątych XX w. podczas pogrzebów wybitnych osobistości, zarówno w Polsce (np. na pogrzebie prof. Ryszarda Gansińca w roku 1958 w Krakowie), jak i w innych krajach zachodnioeuropejskich (...)”. W Finlandii *Integer vitae scelerisque purus* także jest znane jako pieśń żałobna (fiń. *Vaipuos, vaivu sijnnyinmaasi heimaan*), do której melodię skomponował Friedrich Flemming.

** *Gaudeamus igitur, jvenes dum sumus* (łac.) 'cieszymy się więc, póki jesteśmy młodzi!'. Pieśń uniwersytecka, której melodia jest znana od r. 1267, zaadaptowana jako pieśń niemieckojęzyczna w r. 1717 przez I.G. Giinthera, i do której słowa w wersji łacińskiej ułożył C.W. Kindleben w r. 1781.

MIESZKAŃCY MIASTECZKA

Panna Koskinen,
sprzedawczyni gazet Pastor Raka
Jafet Miettinen, szewc Siiri Sara,
kwiaciarka Adam Huttunen, konsul
tytularny Fabrykant Kiiskinen Mia
Pellenius, wdowa Izrael Julkunen,
właściciel kamienicy
Helga, kelnerka Pracownik
magistratu,
Artur Riippa Pani Adela Riippa
Herman Heinrich Riippa, dorosły
Raafael Pesu, bibliotekarz Linkku,
pomocnik na lewym skrzydle
Dyrektor banku Happala Parttyli,
kominiarz Helina, pomoc domowa
Kaarson, dawny parobek Ada
Karhunen, piekarka Risto Ventti,
właściciel sklepu
z artykułami żelaznymi

Portier Kekalainen
Reittu Karp, portier
Pułkownik Bruun Elsa
Bruun Panna Siren
Johannes Hurmę, fotograf
Valma Hurmę, małżonka Kalle
Mykkanen, skrzypek Fredrik
Kónónen,
były handlowiec Patty
Sievanen, aktorka Konstabl
Metso Jaana
Julius, portier w hotelu Matylda,
szwaczka Primus Koljonen,
dorożkarz Hjalmar B. Pukki,
nauczyciel Klaudia Pukki Jonas
Hyttinen,
inspektor sanitarny Annetta
Leimu, śpiewaczka Zacharias
Pirinen, rewident Ida Pirhola,
pracznica Pięcioletnia Ilona
Redaktor Póyhönen